WIDENER LIBRARY
HX CSTT J
S
1799
815

SŁAWNYCH POLAKÓW

Nr. 13.

...RZEJ ŚNIADECKI

JEGO ŻYWOT

NAUKOWE I SPOŁECZNE STANOWISKO

PRZEZ

Leona Świeżawskiego

BIBLIOTEKA ... D. Z. W. ...

Z portretem Jędrzeja Śniadeckiego

Cena 30 kop.

6258

PETERSBURG
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO
1900

Jędrzej Śniadecki

4812.

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW.
Nr. 13.

6258.

JĘDRZEJ ŚNIADECKI

JEGO ŻYWOT

NAUKOWE I SPOŁECZNE STANOWISKO

przez

Leona Świeżawskiego.

BIBLIOTEKA
D. Ż. W.-Wiel

Z PORTRETEM JĘDRZEJA ŚNIADECKIEGO.

Cena 30 kop.

PETERSBURG.
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO.
1900.

S 1797.815

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
JUN 12 1963

PRESERVATION MASTER
AT HARVARD

KRAKÓW. — DRUKIEM W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Służmy poczciwej sprawie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże.

Temi słowy ozdobił Jędrzej Śniadecki swe największe i najlepsze dzieło: „Teoryę jestestw organicznych". Ktoby więc nieznał i dotychczas niewiedział, kim był ów człowiek słynny za życia i niezapomniany w potomności, z tych kilku wierszy odgadnie, że to był przyrodnik.

I to wystarcza, aby w dzisiejszych pozytywnych czasach zrozumieć, na jak zaszczytnem miejscu postawić go należy w poczecie słynnych mężów Polski, jak bystrym i realnym musiał on być, kiedy wśród otoczenia bezmyślnie żyjącego narodu, w Wilnie, stolicy Litwy oddalonej o setki mil od ognisk nauki i umiejętności, wytrwał w nauce przez ogół nierozumianej i lekceważonej, a przytem niósł ją po wyżynach równych najwybitniejszym spółczesnym mężom uczonym całego świata. Do tego działo się to w Polsce skołatanej burzliwymi wypadkami z końca XVIII i początku XIX stulecia, w kraju, w którym z małymi wyjątkami ludzie trwali w błędach kraj rujnujących, albo popadłszy w zwątpienie usunęli się od życia społecznego, albo na końcu szabli chcieli znaleść wyrównanie i poprawę stosunków. Wreszcie Jędrzej Śniadecki był następcą owej nielicznej garstki myślicieli i filozofów i uprawiał naukę, której brak najdotkliwiej Polska uczuła; śmiało rzec można, z powodu braku jej upadła, naukę spokrewnioną lub złączoną silnymi węzłami z fizyką, matematyką i z resztą nauk ścisłych. Nauki te wytwarzają ludzi realnych, sil-

nych, logicznie myślących, poetom i bajarzom zostawiających należne miejsce, a dźwigających kraj techniką, pomysłem i siłą realną. Takich niemal w kraju nie było.

Za czasów jagiellońskich, kiedy kraj jaśniał potęgą, żyli matematycy i przyrodnicy, akademie: krakowska, a później wileńska, wreszcie zamojska, żyły, kwitnęły i wydawały ludzi pożytecznych. Szereg ów zakończył, uwieńczył, wielki Mikołaj Kopernik, stanął na czele polskiej nauki ścisłej, zajaśniał, wyrósł potężny, jak nieśmiertelny olbrzym, ale po nim pusto było na niwie ścisłej nauki i długi szereg lat i królów przeminął; dopiero Stanisław August w rządach nieszczęśliwy, ale szczęśliwy mecenas sztuk i nauk, mógł się radować, że powstało wielu ludzi uczonych w rozmaitych gałęziach wiedzy, że świadomi swych celów, poczęli dzielnie i nieugięcie polską naukę dobywać z popiołów. Komisya edukacyjna, owo pierwsze w Europie, przeto na świecie ministeryum oświaty, owa chluba kraju i ustaw wydanych przez kilkunastu wielkich ludzi jaśniejących w ostatnich okresach życia politycznego, stojąc przy boku króla i rządu, dzielnie dopomagała uczącym się do zupełnego zawładnięcia naukami, rozdzielała stypendya i tworzyła posady, tak że w Polsce nieznanej uczonej Europie, powstali ludzie godni każdego naukowego stanowiska.

Kto był w Krakowie, mógł widzieć na wspaniałym i drogocennym dziedzińcu Biblioteki jagiellońskiej fresk wzdłuż poddasza, zawierający szereg portretów tych ludzi, a kto po kolei przeglądał napisy pod portretami umieszczone, odczytał dwa nazwiska obok siebie nazwiska Jana i Jędrzeja Śniadeckiego.

Nie na polu walki, nie na koniu, nie w krześle senatorskiem, lecz w poważnej i cichej pracowni wyrosła sława tych dwóch braci; nie lirą i rymem służyli narodowi, ale jeden z nich, starszy Jan, mierzył strop nieba, jako astronom i matematyk, młodszy Jędrzej badał tajemnice przyrody jako chemik i fizyolog, a poza pracą naukową jako lekarz niósł radę i ulgę cierpiącej ludzkości. Więc byli to przyrodnicy, więc byli to właśnie ci, których garstkę liczy historya nauk w Polsce, a którzy jedynie są powołani do ścisłej myśli i nauczania ziomków, w jaki sposób marzenia i fantazye należy zamienić w czas i prawdę!

Który z nich na większą zasłużył sławę, stanowi nie-

kiedy cel rozmowy towarzyskiej, a pobudką do niej bywa tylko to, że byli braćmi. My zaś uważamy obu za ludzi wielkiej pracy, wielkiego umysłu, bezwzględnego poświęcenia się krajowi i narodowi. Brodziński, piewca Wiesława, był pewnie świadkiem niejednej takiej rozprawy, zwłaszcza w owych czasach, kiedy imiona obu braci stały na areopagu narodowej dumy, bo w wiersz ubrał swe mniemanie:

... Lecz nie sądźmy różnicy, ani zalet wielu,
Sądźmy tych, których uniósł geniusz do celu,
Tych karty, jak tych tomy, gdy powiew rozniesie,
Nietknięty będzie Homer stał przy Sokratesie.
Bo jak Bóg równie w pyłku i w słońcu cudowny
Tak i geniusz w mniejszem i większem jest równy.
Śniadeckich czeka równa w potomności chwała
Ten głosi cuda świata, ten drobnego ciała.

Rozważmy jak żył, jak myślał i pracował pierwszy polski fizyolog, pierwszy chemik ustanawiający słownictwo polskie w tej nauce, za życia słynny i uważany za niepośledniego człowieka, popularny dzięki wrodzonemu dowcipowi i dzięki niezmordowanej usłużności dla cierpiących, po śmierci przypominany wielokrotnie przez badaczy historyi i rozwoju narodowego i upamiętniony kilkoma pomnikami.

Jędrzej Śniadecki urodził się dnia 30 listopada 1768 r. Miejscem, w którem ujrzał światło dzienne jest miasteczko Żnin, położone w Wielkopolsce t. j. Księstwie Poznańskiem, w powiecie Kcyńskim. Ojciec jego posiadał kilka domostw w Żninie i niewielki folwark pod miasteczkiem, był rządny, zapobiegliwy, miał czterech synów, z których wprawdzie jeden w młodości zmarł, ale trzech pozostałych wymagało dość grosza na potrzeby wychowania i szkoły. To też gdyby nie szczęśliwe stosunki, snadnie stać się mogło, że olbrzymie talenta młodych Śniadeckich mogły zapoznane i nierozwinięte zmarnieć na piaszczystej glebie ojcowskiej zagrody. Lecz los opiekował się młodzieńcami żądnymi nauki. Jan, dzięki zdolnościom zdradzanym przy każdej sposobności, upatrzony przez znających się na wartości ludzkiej Jezuitów, namówiony przez nich, ze szkół w Poznaniu pojechał na koszt ich do Krakowa, a gdy Jędrzej w pobliskiem Żninowi mieście Trzemesznie początkowe wykształcenie odebrał, Jan już zdobył w Krakowie stanowisko, od roku 1780, wykładając wyższą matema-

tykę, zaopiekował się młodszym bratem, zwłaszcza iż w tych czasach ojca stracili i ulokował go w gimnazyum nowodworskiem (dziś św. Anny). Od tego czasu Jędrzej ma opiekuna w starszym bracie, szanuje go i niezwyczajnie poważa, czuł bowiem i dobrze rozumiał czemby był, gdyby nie miał zapewnionego bytu materyalnego i doświadczonej i tak życzliwej opieki. Wywdzięczył się też bratu czem mógł, to jest uczył się gorliwie, uczył się z zapałem i zyskiwał pochwały, nawet uważano go za pierwszego ucznia w gimnazyum. Zapatrzony w brata, wcześnie jął się matematyki, a nawet myślał tak samo tym naukom się poświęcić.

Że był pierwszorzędnym, a nawet pierwszym uczniem, było zdaniem ogólnem między nauczycielami i współuczniami. Gdy więc król Stanisław August w czerwcu 1787 r., bawiąc w Krakowie uczestniczył przy szkolnych dorocznych popisach publicznych, Jędrzej Śniadecki w imieniu młodzieży powitał króla; śmiałą i piękną przemowę wygłosił ze stosownym nastrojem, wszystkich zadowolnił, a króla tak zajął i ucieszył, że poruszony widokiem wdzięcznej postaci młodzieńca, nie tylko dał mu zasłużony i prawdziwą zasługą pilności zdobyty złoty medal z napisem „Diligentiae“, lecz nadto umiejąc wszędzie zaznaczyć, jak się powinno naukę nagrodzić i uznać jej potęgę choćby w skromnej mierze gimnazyasty, puszkę z orderem św. Stanisława, przeznaczoną dla rektora akademii krakowskiej, Oraczewskiego, podał zapłonionemu stojącemu przed nim młodzieńcowi i rzekł: „Nie mogę tu nikogo znaleść godniejszego, ani właściwszego zrobić wyboru, jak w twojej osobie zacny młodzieńcze, do uznania za pośrednictwem zasłużonego ucznia, zasług naczelnika edukacyi publicznej“.

Pośród ogólnego entuzyazmu licznie zgromadzonej i wykwintnej publiczności włożył Jędrzej Śniadecki czerwoną wstęgę na piersi rektora. Całemu zaś aktowi towarzyszyło ogólne długo niezapomniane, wzruszenie wszystkich, a kończącemu nauki średnie Jędrzejowi wróżono sławę i pomyślność, której też w życiu zaznał. W dniu tym król i Jędrzej Śniadecki byli na ustach wszystkich mieszkańców Krakowa. Króla podziwiano za to, że dał wyraz prawdziwej czci dla nauki i uszanowania dla dzielnych jej adeptów, młodego ucznia podziwiano, a Radwański profesor mechaniki w akademii, spiesznie doniósł Janowi bawiącemu wtedy w podróży naukowej w Londynie,

jakiego zaszczytu brat dostąpił i jak król znalazł się mądrze pięknie i dowcipnie.

W tej chwili życia Jędrzeja nastąpiła ważna czynność, postanowienie i wybór drogi, po której mógłby dojść do zawodowego stanowiska. W nieobecności brata sam nad sobą myślał, przykład brata pociągnął, namówiono go, tak, że zapisał się na matematykę i miał zostać inżynierem. Do tego postanowienia przyczyniła się nadto pewna okoliczność. Kiedy jeszcze Śniadecki był w gimnazyum, przyjechał do Krakowa z Brzega wyższy pruski inżynier wojskowy i przypadkowo był na popisie. Słuchając odpowiedzi uczniów, zauważył, że Jędrzej, tak korzystnie wyróżnia się z pomiędzy towarzyszów, odpowiada tak śmiało i przytomnie szczególnie w geometryi, że inżynier natychmiast z nim się zapoznał i zaczął nakłaniać do zaciągnięcia się w szeregi inżynieryi pruskiej. Po wyjeździe z Krakowa kilkakrotnie pisywał, obiecując, że przyjmie go do szkoły wojskowej w charakterze podoficera, za sześć miesięcy obiecując awans na oficera.

Jan Śniadecki wiedział o tych zabiegach pruskiego wojskowego i chociaż nie podzielał tych planów, myślał o wojskowej karyerze Jędrzeja, korespondował z owym inżynierem, celem dokładnego poinformowania się, atoli niechętny, by Jędrzej zaciągnął się w szeregi niemieckie, umyślił wreszcie, że odda go do szkoły wojskowej we Francyi. W podróży swej w roku 1787 bawiąc we Francyi postarał się o przyjęcie do szkoły, lecz powróciwszy do kraju, ku wielkiemu zdziwieniu zastał brata nad anatomią, a w pokoju szkielet kości ludzkich.

Oto Jędrzej zmienił plany i wydział. Przeszedł na medycynę, namówiony przez margrabinę Wielopolską z Żywca, osobę oceniającą wartość Śniadeckich i nadzwyczajnie dla nich życzliwą. Zresztą sam Jędrzej czuł dobrze, że jego obowiązki i powołanie to praca w kraju i dla kraju, że awanturnicze życie żołnierskie nieda pola do zrealizowania swego przywiązania do rodzinnej ziemi. Pomny uszanowania dla brata doniósł mu natychmiast o zmianie, lekko i jakby z bojaźnią wspominając o swych zamiarach.

„Lekcye moje teraz właśnie rozpocząłem“ pisze Jędrzej z Krakowa w dniu 10 października 1787 r. do bawiącego w Londynie brata. „Rozumiem, że Wm. Pan Dob. tego nie zganisz, żem sobie wziął za przedmiot doskonalenie się w fi-

zyce“. Tak wówczas powszechnie nazywano wydział lekarsko-przyrodniczy. „Spodziewam się, że nie będzie w mojej możności stać się tutaj mocnym w tej nauce, ale przynajmniej odemnie będzie zawisło, jak najlepiej się do niej przysposobić. W tym celu obrałem sobie lekcye te tylko, które mi na ten koniec służyć mogą. Ponieważ zaś to wiem z ust Brata doskonale, i z własnego przeświadczenia tyle, ile zdolny jestem wiedzieć, że matematyka najpierwszą jest nauką, na której cała fizyka polega, postanowiłem naprzód, ile możności, w niej się ugruntować. Nieszczęście moje, że nie jestem tak przysposobiony, ażebym mógł słuchać zaraz matematyki wyższej, a czas, którego wyciąga usposobienie się z lekcyi matematyki niższej jest nadto długi. Ja postanowiłem skrócić go przez własną pracę. Może Brat łatwo być przekonany, jak wiele tracę na niebytności Wm. Pana Dobr. mogąc mieć bardzo wielką w naukach moich przy pomocy jego, ulgę“...

Tak więc ułożyło się już na stałe, Jędrzej Śniadecki miał zostać lekarzem. Ale już w liście wspomina, że mu nie wystarczą nauki w Krakowie pobierane. Z pomiędzy profesorów jedyny Wincenty Szaster wyróżniał się w wykładzie anatomii, poza tem ówczesna akademia krakowska nie mogła się pochlubić wybitniejszemi siłami. Tak też było w istocie, trzeba było u obcych szukać uzupełnienia w naukach, nie tak jak dzisiaj, trzeba było niezawodnie wyjeżdżać, aby ciekawy i zdolny człowiek mógł stanąć na poziomie europejskiego wykształcenia. To też tacy wracali do kraju tęższi, mądrzejsi, lecz iluż to ludzi zniechęciło się do ubogiej rodzinnej ziemi, gdy widzieli na zachodzie rozkwit i cywilizacyę.

Jędrzej Śniadecki był wiernym synem swej ziemi. Po trzyletnich studyach w Krakowie wyjechał do Pawii, był i w innych miejscach, miał sposobność otrzymania bardzo intratnej posady między obcymi, jednakowoż powrócił mądrzejszym przyrodnikiem, lepszym lekarzem, ale też i lepszym obywatelem, gotowym do usług społeczeństwu, wierny hasłom swego kraju.

Śniadecki dlatego wybrał Pawią we Włoszech, ponieważ wydział lekarsko-przyrodniczy na tamtejszym uniwersytecie cieszył się niemałym rozgłosem. Wybitne powagi naukowe zasiadały katedry, nieśmiertelni Galvani i Volta, odkrywcy i twórcy nauki o elektryczności, znakomity fizyolog i naturalista Spallanzani, anatom Moscati i Jan Piotr Frank,

późniejszy profesor kliniki lekarskiej w Wilnie, powołany tam przez rząd za czasów rektorstwa Strojnowskiego.

W lipcu roku 1791 udał się Śniadecki do Wiednia. W Wiedniu jaśniała w tych czasach, po części już swą tradycyę mająca „sławna szkoła wiedeńska“ założona przez leibmedyka Maryi Teresy Gerharda von Swieten, ucznia króla lekarzy praktycznych XVIII wieku Hermana Böerhave w Leyden. Mistrzowie tej szkoły słynęli, mając niezmierny materyał naukowy, mianowicie jako praktycy i ściśli dyagnostycy o kierunku trzeźwym, doświadczalnym i obserwacyjnym. Poza obrębem tej szkoły, lecz również wiedeńczyk, stał wynalazca nowej dyagnostyki fizykalnej za pomocą perkusyi (wypukiwania) Leopold Auenbrugger — słowem Wiedeń był podówczas głośnem źródłem praktycznej nauki medycyny wewnętrznej, tak jak Paryż chirurgii.

Po zwiedzeniu obszernych klinik i lekarskich zakładów, w których miała siedzibę, ta tak zwana „szkoła wiedeńska“ pojechał do Pawii, gdzie niebawem jął się książki i pracowni. Z jaką gorliwością i zapobiegliwością przykładał się do pracy i jak żywo zajmował się naukami, niechaj poświadczy list pisany do Jana z Pawii w kwietniu 1792 roku. List ten doskonale nam wyjaśnia, jak umysł młodego medyka szczególnie był uzdolniony do badań, do myślenia właśnie takiego, jakiego wymagają badania i dociekania w przyrodnictwie, następnie bije z niego żądza, ciekawość, zapał, to też nie dziw, że bardzo wybitnie działał i myślał w ciągu życia, zaprawiając się do tego od wczesnej młodości.

„Doświadczenie ciekawsze pana Galvani, które sam kilka razy powtarzałem“ — są słowa listu — „jest następujące: Bierze się żaba żywa i jak tylko można najprędzej oddzielają się *nervi crurales;* co uczyniwszy kładzie się żaba na kawałku szkła i na przedniej jej albo nerwów części kładzie się blaszka metalowa i potem oparłszy jeden pręta metalowego odosobnionego koniec, na metalowej blaszce, a drugim się dotykając nóg żaby, widać oczywistą i nagłą całych nóg konwulsyę, co bardzo długo czasem można powtarzać, dopóty tylko jednak, dopóki w częściach tych żaby trwa życie. Ja robiłem to doświadczenie następującym sposobem: Oddzieliwszy nerwy od przedniej ich części, przyczepiałem karty cynowej kawałek, a potem zbliżywszy do siebie szklanki pełne wody, układałem

żabę tak, że obie nogi były w jednej szklance, przednia część nerwów z blaszką metalową w drugiej; same zaś nerwy opierały się na brzegach dwóch szklanek; naówczas oparłszy jeden koniec pręta odosobnionego na blaszce, a drugim dotykając się wody w szklance, w której się znajdują nogi, widać było w tym momencie mocną tych nóg konwulsyę. W tem doświadczeniu widzieć można oczywiście: 1) że nie przyczepiwszy blaszki do przedniej żaby albo nerwów, żadnego nie można widzieć skutku, 2) że koniecznie jednym końcem pręta trzeba się dotykać blaszki metalowej; dotykając się albowiem obydwoma końcami wody w dwóch szklankach, żadnego nie miałem skutku. Przyczepiałem potem blaszkę do nóg żaby, a na niej oparłszy jeden koniec pręta, dotykałem się drugim przedniej żaby części, ale i tym razem żadnego nie było skutku. Rzecz, której w tym doświadczeniu pojąć nie mogę jest ta: dlaczego do przedniej nerwów części koniecznie potrzeba przyczepiać blaszkę metalową i dlaczego nie następuje ten sam skutek ruszając te nerwy we wodzie, kiedy woda równie jak metal jest konduktorem? Próbowałem potem, tego samego, podług przepisu Galvaniego na szczególnych muszkułach, to jest w psach i w kotach żywych i oddzielałem pojedyncze muszkuły z ich nerwami, a przyczepiając do przedniej części nerwu blaszkę metalową i dotykając jej jednym pręta metalowego końcem, a drugim muszkułu, ściągał się muszkuł za każdem dotknięciem. Wiem, że pan Volta z wielką ścisłością nad temi doświadczeniami pracuje; nie można jednak wiedzieć, czy co dotychczas zrobił lub nie; lubi on bowiem aż nadto sekreta. Galvani dawał wprzód żabom, na których robił te doświadczenia opium; powiada jednak, że żadnej w skutkach nie widzi odmiany; o czem bardzo jestem przekonany. Możnaby w tej materyi bardzo ważne robić niektóre doświadczenia; ja sam miałbym niektóre w tej rzeczy na myśli, ale ani czasu, ani sposobności nie mam się tem zatrudniać. List ostatni W. Pana Dobr. odebrałem. Dziwno mi, żeś W. Pan Dobr. do tej pory nie odebrał moich książek z Wiednia; te książki zostawiłem u Hildebrandów, którzy je mieli przez najpierwszą okazyę do Krakowa posłać; za to pięć voluminów komentaryusza Hallera na Fizyologią Boerhavego. (Albrecht Haller, genialny anatom, fizyolog, botanik, poeta, mąż stanu, żył w połowie XVIII stulecia, wskrzesił fizyologię eksperymentalną,

uprawianą w starej szkole aleksandryjskiej, później w Rzymie, dziś stanowiącą podstawową naukę najnowszej fizyologii). Pisałem już dwa razy o tem do Hildebrandów, ale mi nie odpisali.

Cudzoziemców tutaj nie masz, oprócz kilkunastu Niemców i dwóch Greków; reszta są albo Wenecyanie albo Piemontczykowie, albo z innej części Włoch. Profesorowie wszyscy mają sobie do woli zostawione dawać lekcye albo po włosku, albo po łacinie. Co się tyczy egzaminów, w tym żadnej nie masz trudności; cudzoziemcy albowiem zawsze go mogą złożyć, aby tylko mieli zaświadczenie, że jako gdzieindziej wysłuchali wszystkich medycyny kursów. Bardzo tu jednak egzamin wiele kosztuje i pieniędzy i mozołu. Najprzód się składa egzamin z fizyki. Ponieważ się bierze razem *laurea* ex medicina et philosophia i choćby kto gdzieindziej był filozofii doktorem, to na nic nie służy. Ten pierwszy egzamin kosztuje dukatów ośm.

Egzaminatorów z medycyny jest bardzo wielu; do ich liczby należy profesor chemii i botaniki i kto się w tych dwóch naukach niezbyt mocnym czuje, nie może składać egzaminu i jednego bowiem profesora *votum* wystarcza do odrzucenia *a laurea*. Oprócz profesorów, którzy nie mogą egzaminować tylko każdy ze swego objektu, wchodzą do egzaminu tak tutaj nazywani doctores collegii, których jest kilkunastu, a którym wolno jest pytać się, co im się tylko podoba. Przed egzaminem składa się w ręku dziekana 24 dukaty, wykupienie zaś patentu i ceremonie *laureae* kosztują do dwunastu dukatów. Kto odpada od egzaminu, traci połowę depozytu. Ja tego roku złożyć egzaminu nie mogę; powtóre dlatego, iż nie robiąc nic więcej tego roku oprócz praktyki, z teoryi nie byłbym gotów; podczas dopiero tych wakacyi myślę się zacząć na egzamin gotować, który na przyszły rok myślę około Wielkiejnocy złożyć“...

Czas wolny od zajęć w klinikach i pracowniach umiał Śniadecki umiejętnie spożytkować. Podczas feryi odbywał wycieczki do miast pobliskich, w chwilach wolnych w ciągu nauk uczył się języków francuskiego i angielskiego.

Ferye spędzone w roku 1792 w Medyolanie, to ważne chwile w jego umysłowem życiu. Zaglądając do bibliotek rozczytywał się tam w medycynie angielskiej i pierwszy raz po-

znał się ze słynną teoryą Johna Browna profesora medycyny w Edynburgu. Teorya owa znalazła w nim zrazu przychylnego czytelnika, w niedługi czas potem, kiedy wczytał się w jej zasady, został jej gorącym wielbicielem, nawet zapalił się i potykał się o nią z własnymi profesorami.

Teorya ta swą nader zręczną logiką nie tylko Śniadeckiego do siebie zniewoliła, nie on jeden przepoił się rozumowaniem szkockiego myśliciela, setki lekarzy wyznawało ten system, zgubny jak się później okazało. Wynikające z zapatrywań tych leczenie więcej zabiło ludzi niż wojen kilka, a jednak teorya ta określając, że lekarz jest panem przyrody a nie przyroda lekarza, jak Hipokrates i dzisiejsi twierdzą, pozornie wyjaśniając zasadnicze pojęcia życia, umiała przywiązać do siebie nadzwyczaj wielu zwolenników i utrzymała się dłużej niż na to zasługiwała, bo może do połowy XIX wieku.

Pod jej wpływami zostawał Śniadecki całe życie i jakkolwiek był zbyt rozumny i rozważny, by w praktyce na jej podstawie popełniać błędy, w teoryi była nieraz pobudką własnych jego myśli. Czem była, jakie zasady miała teorya Browna, poznamy zajmując się utworem Jędrzeja Śniadeckiego pod tyt., „Teorya jestestw organicznych“, na teraz niechaj nam wystarczy to, że Śniadeckiemu wraz z przyjacielem przedwcześnie zmarłym Janem Frankiem długo nie udawało się zyskać zwolenników, wreszcie atoli większą część kolegów i profesorów, ba nawet Mascatiego i Piotra Franka zniewolili do szeregów wyznawców tej teoryi, a nawet postarali się, by teoryę przełożyć na język włoski.

Tak to na nauce, uczonych dysertacyach, badaniach i doświadczeniach zeszedł Śniadeckiemu czas szybko. Z kolei nastąpiły teraz egzamina, które zdawał świetnie wiążąc nowe ogniwo z lubiącymi go profesorami. Wreszcie w dniu 16 maja 1793 roku otrzymał stopień doktora medycyny i filozofii na wszechnicy pawijskiej i stanął na pierwszym szczeblu swego zawodu.

W przebiegu dotychczasowych dziejów życia Śniadeckiego przebija się powodzenie. Bo dziwnie i rzadko szczęśliwy los był udziałem tego męża. Od chwili kiedy w świat wstąpił, dobra dola z dniem każdym rzec by można dodawała mu wszystkiego. Miał przyjaciół wszędzie, w każdej okoliczności zyskiwał uznanie, sam pędzony potrzebami szerokiego

umysłu chciwie coraz dalej rozszerzał zakres swych wiadomości i doświadczeń, zwolna ale ciągle nowe zyskiwał zaszczyty, godności, tytuły, aż wreszcie, gdy niestało godności pospolitych, ludzkość uplotła dla niego wawrzyny.

O tem przekonamy się niebawem, obecnie zacytujemy list Piotra Franka po francusku pisany, do Jana Śniadeckiego, dowodzący, że Jędrzej, uczeń, młodzieniec, umiał zdobyć wśród przełożonych swych coś więcej jak zwykłą pochwałę. „Powinien Pan być dumnym", słowa listu Franka, „ze stanowiska pańskiego brata. Jego zachowanie się, pilność, gorliwość, łączą się w nadzwyczajnej harmonii ze znakomitymi talentami w zawodowej nauce, z czego przypuszczam, że zgotuje sobie dzień sławy w swej ojczyźnie.

II.

Ozdobą młodego umysłu jest niedowierzanie własnym zasobom naukowym, nieznużona siła żądna ustawicznego kształcenia się. Jędrzej Śniadecki posiadał taki umysł, przecież od tak dawna się uczył, uzyskał dyplom pozwalający na odbywanie praktyki lekarskiej, był dowcipny i sprytny, mógł więc odjechać do Polski, osiąść tam i sporo zarobić, nie, on wolał być doskonalszym, chciał się zupełnie wykształcić w sztuce i w teoryi. Sumienie wzorowo delikatne i niezaspokojone umysłowe pragnienia pchały go dalej, w nowe kraje, na nowe uniwersytety. Po namyśle wybrał Paryż, w którym prócz matematyki wówczas pierwsze miejsce w naukowym świecie matematycznym zajmującej, słynęła chirurgia rozwijająca się w Paryżu jeszcze od czasów Lanfranchiego. Jak zwykle z bratem dzieli się zamysłami i tak pisze w czerwcu 1793 r. z Genui.

„Gdybym się miał uczyć chemii, nie wątpię, iż pracując z usilnością, mógłbym w krótkim czasie znaczne zrobić postępki, gdyż miałem okazyę w Pawii tyle jej się nauczyć, ile mogło wystarczyć do dania mi dokładnego wyobrażenia o teraźniejszym stanie tej nauki. Więcej by mnie nierównie kosztowała nauka historyi naturalnej. Chirurgia nie jest rzeczą ani nową, ani trudną dla medyka, potrzebuje tylko wprawy ręki i oka"...

Ale dostać się do Paryża nie było można. Następstwa

rewolucyi francuskiej datujące się od roku 1789 srożyły się z całą rozpasaną bezwzględnością. Rządził tam teraz teroryzm. Dojeżdżając już do granic Francyi rozważył to Śniadecki, zaniechał zamiaru i plan podróży zmienił postanowiwszy udać się do Anglii. Ale aby i tam dojechać w burzliwych czasach, trzeba było drogę obmyśleć. Drogą morską było niebezpiecznie, walka floty francuskiej z koalicyą nabawić mogła przykrych przygód, trzeba było lądem zatoczyć wielkie koło i to przez Szwajcaryę, Niemcy, Niderlandy. Po drodze zaspokoił ciekawość podróżnika, zwiedził bowiem brzegi Renu, był w Bazylei, gdzie czas niejakiś pozostał, zwiedził Frankfurt i Moguncyę. Stąd popłynął Renem do Kolonii i przez Brukselle dojechał do Ostendy i 13 sierpnia 1793 r. popołudniu wsiadł na okręt odpływający do Dowru, aby następnie udać się do Edynburga, gdzie słynny wydział lekarski w swem łonie utrzymywał tradycye, mistrza Śniadeckiego, nauczyciela, który mu wiele myśli podał, Johna Browna, twórcę teoryi biologiczno-fizyologicznej.

Jednakże los zrządził, że do Edynburga nie zaraz dojechał. Straszliwa burza morska zagroziła staremu statkowi holenderskiemu, rzuciła nim aż ku brzegom Danii, cudem niemal, że nie roztrzaskała go o skały. Skutkiem tej burzy okręt zawinąć musiał do portu Heringsfang, skąd było tak blisko do Londynu, że tam pojechał i pozostał czas jakiś. Pobyt w tem największem i najbogatszem mieście Europy upłynął bardzo rozmaicie i to głównie przez znajomość z posłem Rzeczypospolitej Bukatym, osobistym przyjacielem Jana. Bukaty nader gościnnie przyjął Jędrzeja, sam go oprowadzał, pokazał wszystko co Londyn miał ciekawego i wprowadził do domu posła szwedzkiego, z którym żył w wielkiej zażyłości. A że oni obaj z potrzeb dyplomatycznych osobny utrzymywali dziennik, puścił Śniadecki wodze swemu dowcipowi, nauczywszy się jeszcze w Pawii dobrze po angielsku, umieścił w dzienniku kilka tak wysoce satyrycznych i stosownych do okoliczności artykułów, że zwrócił niemi powszechną uwagę. Zaczęto dopytywać się o autora i byłby może odkrytym, gdyby z powodu pośpiechu nie musiał wyjechać do Edynburga.

Były to czasy najwyższej sławy, po dziś dzień jeszcze sławnej edynburskiej szkoły lekarskiej. Prócz reminiscencyi

Browna, Monro, Bell w pełni byli swej sławy. O spotkaniu się Monroego ze Śniadeckim przechowała się ciekawa anegdota. Mając list rekomendacyjny poszedł Śniadecki do uczonego, a on przekręciwszy nazwisko po angielsku, odezwał się dobrodusznie:

„W. Pan więc jesteś *Mister Snedin!* Ta familia u nas w Szkocyi jest bardzo znaną". Śniadecki uśmiał się serdecznie i długo uczyć musiał Monroego, że jest Polakiem i jak się wymawia nie po szkocku ale po polsku.

Dwa lata bawił doktór Śniadecki w stolicy Szkocyi. Że tam pracował z pożytkiem, niechaj zaświadczy po łacinie skreślony plan przyszłej „Teoryi jestestw organicznych" owoc głębokich rozmyślań i dojrzałego przyrodoznawstwa. Bo też wpływ słynnych profesorów, dostatek pracowni, szpitalów i zbiorów, poważna i umiarkowana szkoła filozoficzna skłaniająca się do kierunku badawczego i eksperymentalnego, matka przyszłej filozofii pozytywistycznej, usposobiły młodego przyrodnika bardzo znamiennie. Ile twórczości rozumowej jeszcze w ukryciu drzemało, tyle tu w Edynburgu się obudziło. Czego nie nauczył się w Pawii, tu uzupełnił. Wreszcie uczuł się zdolnym do zajęcia stanowiska w społeczeństwie i do samodzielnej pracy.

Zniósł się też w tej mierze z bratem Janem, który podwójnie, bo po bratersku i po ojcowsku czuwał nad Jędrzejem. Jan mając wieści bardzo dokładne, że w Pawii Jędrzej niepoślednią zwrócił na siebie uwagę i cieszył się nadzwyczajną życzliwością, nawet przyjaźnią profesorów, wiedząc, że podczas dwuletniego pobytu na wyspie W. Brytanii nie tracił marnie czasu i pieniędzy, lecz uczył się, zapragnął dla niego przyzwoitego stanowiska i lepszego losu niż prowincyonalnego lekarza. Myśl przewodnia, że w stolicy będzie mógł dla nauki poświęcić swe zdolności i pracowitość, że ogół zyska coś więcej prócz służby przy chorych, wpłynęła że starał się, aby Jędrzej zajął mające się opróżnić miejsce nadwornego lekarza przy królu Stanisławie Auguście w Warszawie. Nawet ułożył się już prywatnie z lekarzem Stanisława Augusta, Beklerem, z powodu starości pragnącym już spoczynku, król się zgodził, jednak ówczesny książe prymas Poniatowski, nienawidzący Jana za surowe i śmiałe wystąpienie w obronie publicznego dobra edukacyi publicznej i akademii krakowskiej, intrygami i wpływami to zrobił, że Jędrzej posady nie otrzymał.

Niebawem zaproponowano mu inną posadę, materyalnie bardzo korzystną i wróżącą zdobycie sobie rozgłosu, mianowicie rząd angielski potrzebował kilku medyków, na sanitarnych naczelników w kilku największych miastach Indyi przedgangesowych. Profesorowie Gregory i Monro polecili Jędrzeja Śniadeckiego w ten sposób, że tylko od jego woli zależało przyjęcie tej intratnej posady. Atoli podobnie jak starszy Jan na propozycyę D'Alemberta, czy przyjąłby posadę astronoma w Madrycie, odpowiedział, że jego osoba i wiadomości należą do rodzinnego kraju, tak Jędrzej nie przyjął zaszczytnej propozycyi, gdyż należał do ludzi, dla których praca na własnej ziemi była najwyższym obowiązkiem i najlepszą pociechą.

Tymczasem po dwuletnim pobycie wybrał się z Edynburga z powrotem ku ojczystym stronom. Przyjechał do Londynu na cztery tygodnie, stamtąd prosto do Wiednia, gdzie znowu na studyach przeszło rok zabawił. Podróży do Paryża zaniechał, bo wir i zamęt wojen i nowej ery napoleońskiej naturalnie odpychały każdego pragnącego i przyzwyczajonego do ciszy pracowni. Było to 1796 r.

Do tej pory sumiennie i trzeźwo pracował w medycynie i przyrodnictwie, nie spodziewając się może, że tak prędko los rozkaże mu nabyte wiadomości oddać szerokiemu społeczeństwu z uniwersyteckiej katedry. W tym bowiem roku z Wiednia powołany został do akademii wileńskiej na profesora chemii. Ten zaszczyt dla młodego uczonego, ta najpoważniejsza godność na świecie, to ważny zwrot w życiu Jędrzeja, a donośny z tego powodu, że powołany na katedrę na nowo zorganizowanej wszechnicy był pierwszym na swej katedrze wykładającym w języku ojczystym i stojącym na poziomie ówczesnej wiedzy.

Bo dotychczas odpowiednio do niewybrednych wymogów akademia wileńska przysposabiała do stanowiska duchownego, do stanu prawniczego i w tych kierunkach może odpowiadała celowi, lecz to co się ścisłą wiedzą nazywa, mianowicie wydział filozoficzny w najobszerniejszem znaczeniu, prawie, że nie istniał, a społeczeństwu tak potrzebny wydział lekarski rezydował na papierze. Od czasu założenia akademii wileńskiej przez króla Stefana Batorego w 1578 roku wydziału lekarskiego nie było. Dopiero Władysław IV nadał w r. 1641 na sejmie warszawskim przywilej uczenia sztuki lekarskiej w akademii wileńskiej,

a że zaraz od czasów Batorego akademia przeszła zupełnie w ręce Jezuitów, czterech Jezuitów miało wykładać medycynę. Wobec tego cały przywilej poszedł na marne, aż przecież w roku 1780 znakomity astronom Marcin Poczobut mianowany przez komisyę edukacyjną rektorem, usiłował zreformować akademię w Wilnie. Jednakże wiele dróg przechodziły projekta Poczobuta, przedewszystkiem dlatego, że chciano jedną akademię krakowską utrzymać na stopie uniwersyteckiej, w Wilnie zaś utworzyć zaledwo znaczenie szkół średnich mające liceum narodowe. Poczobut jednak wpływem swoim do tego nie dopuścił, wyrobił dla akademii osobną ustawę, a komisya edukacyjna ustanowiła w Wilnie wydział lekarski wyposażając go w gmachy i zakłady i sprowadziła kilku zdatnych profesorów z zagranicy.

Śniadecki do chemii, farmacyi i „materiae medicae“ a Jundziłł do botaniki i zoologii, byli pierwszymi profesorami Polakami i chlubnem sprawowaniem naukowego urzędu dowiedli, że siły własne znaleść się mogą, jeśli ich szukamy.

Niewiadomo kto zaproponował Śniadeckiego na katedrę i jakiemi drogami wędrowała myśl, znajdująca swe spełnienie w mianowaniu go profesorem. Niezawodnie Jan ułatwiał bratu zasłużone poważanie, prawdopodobnie nie trzymał tego w tajemnicy, że młody przyrodnik tyle już lat poświęcił doskonaleniu się w swej nauce. Ale ten domysł nie osłabia znaczenia i stanowiska Jędrzeja, bo jakiemikolwiek drogami projekt powołania go do Wilna doszedł do skutku, osoba jego tak godnie i nienagannie wywiązała się z włożonego na barki ciężkiego zadania, że możemy go stawiać za przykład i w tej zalecie jako znakomitego i wymownego profesora.

A więc trzeba było wracać z długiej wędrówki. Korzyści doświadczenia i wrażenia tak rozliczne rozwinęły zpewnością bujny umysł młodego człowieka, poznał więcej w kilku latach, niż poznałby przez całe życie w zaciszu własnego kraju, horyzont jego wiadomości rozprzestrzenił się niebywale, ale przecież tęskno mu już było do biednych miast rodzinnych i biedniejszych jeszcze wiosek. Z jakiemże rozrzewnieniem, z niewysłowioną radością i wdzięcznością witał brata Jana, który przybył w poselstwie do cesarza Ferdynanda do Wiednia, mając tak wspaniałe cele, jak zapewnienie losu marniejącej akademii krakowskiej. Jan przybył z ks. Bogucickim

i tak we trójkę spędzili kilka tygodni w objęciach braterskiej przyjaźni.

Tymczasem czas otwarcia katedry miał się zbliżyć, trzeba było pożegnać pracownie, stanowisko studenta, spokojny czas wyłącznie należący do uczącego się i zająć wielkie, nowe stanowisko. Zatem wybrał się Jędrzej w podróż, a mimochodem nawykły do włóczęgi zwiedził kraj własny.

Najpierw zawitał do Żywca, aby raz jeszcze złożyć hołd wdzięczności życzliwej i zawsze o Śniadeckich pamiętającej margrabinie Wielopolskiej, aby jej okazać, jak świetne odniósł korzyści w zawodzie, do którego wszedł jedynie słuchając rady jej i życzliwych upomnień.

Potem żegnał kolebkę swego umysłowego wychowania, stary, stuwieżowy Kraków, gdzie tyle pamiątek minionych lat szkolnych przywiązało go do szarych murów. Tak mniemał przynajmniej Śniadecki, że na długo opuszczał te strony, unosząc miłe wspomnienia prac szkolnych i harców chłopięcych. Tak myślał, ale i Kraków i wszystko co tam było dlań miłego, opuścił na zawsze. Jędrzej Śniadecki już nigdy do tych miejsc nie powrócił.

W przejeździe przez Galicyę zwiedził Lwów, skąd już prosto udał się na Wołyń. Tam zdarzył mu się interesujący, z jego zawodem związany przypadek, wobec którego okazał, że nie tylko niósł przed sobą sztandar nauki, ale umiał być nieustraszonym, gdy szło o niesienie ulgi zagrożonym chorobą. Chociaż tego nie potrzebował, umiał dzielnie potykać się z niebezpieczeństwem grożącem praktycznym lekarzom. Była to dżuma, która w r. 1796 przedostała się z nad Czarnego morza na Wołyń. Wobec tej strasznej, zaraźliwej choroby było wielkiem poświęceniem zbliżanie się i ratowanie chorych, mimo to Śniadecki po wsiach spotykając chorych tego rodzaju leczył ich, spełniając ochotnie obowiązek lekarza.

Nareszcie przybył do Wilna, aby w roku 1797 rozpocząć wykłady, jako profesor chemii i farmacyi.

III.

Nieporównanymi swymi przymiotami, Śniadecki odrazu podbił, jak to mówią, mieszkańców Wilna. Prócz niewielu nie-

chętnych, twierdzących, że jest za młody (liczył 29 lat wieku) zyskał szerokie grono wielbicieli, poczynając od uczniów, kończąc na obywatelach wszelkiej kategoryi. Uczniów zjednał krasomówstwem i wdziękiem, jakim ozdabiał swe wykłady. Wkrótce rozgłos jego interesującej wymowy, którą tak ożywiał przedmiot zwykle dość trudny do przedstawienia, że czynił go zajmującym i dla ludzi łaknących tylko powierzchownej ogłady, powtarzany rozgłos wykładów Śniadeckiego, w cichem Wilnie prócz uczniów ściągnął na wykłady ludzi rozmaitego wieku i urzędu; nawet księża i żydzi byli jego słuchaczami. Ówczesne literackie odgłosy w ten sposób donoszą o wykładzie młodego profesora: „Niezrównany wdzięk krasomówstwa, połączony z głęboką wiadomością rzeczy w wykładzie tej nowej nauki, zwrócił zrazu powszechną uwagę w nienawykłej do zajmowania się takiemi rzeczami publiczności. Lecz potem katedra ta, na której zasiadł tak znamienity mistrz, z każdym dniem nowej nabierając wziętości, taki wznieciła zapał, i tyle ściągnęła słuchaczy, nie tylko z uczniów uniwersytetu, ale i z pośrodka wszystkich klas ówczesnego towarzystwa, że nic podobnego do owej epoki w kraju polskim widzieć się nie dało“... (Wizerunki i Rostrząsania naukowe, Wilno 1838 r.).

Jakoż tak było w istocie. Nic podobnego w Polsce się nie zdarzyło, aby nauką szerokie społeczeństwo mogło się zainteresować. Tu już nie nauce, ale wprost Śniadeckiemu należy całą przypisać zasługę. On wlał duszę w swój przedmiot i równocześnie mimo prostego, jasnego i barwnego przedstawienia, oparłszy się na najnowszych zdobyczach w teoryach Laroissiera reprezentował chemię na sposób najlepszych zagranicznych uniwersytetów i po zwinięciu prastarej wszechnicy jagiellońskiej był jedynym urzędowym przedstawicielem chemii w ziemiach należących do byłej Rzeczypospolitej. Tak to stosunki sprawiły, że podobnie jak niejednokrotnie, Polacy stali i w tej mierze między najpierwszymi. U nas w Polsce takie błyski niemal wyprzedzające bieg światła zdarzały się dość często.

Rozgłos zyskany tak wkrótce po przybyciu i zjednanie sobie wiele sympatyi i zwolenników wpłynęło bardzo korzystnie na praktykę lekarską. Mimo to, że Śniadecki pracował w teoryi, wiele godzin codziennie musiał spędzić w laboratoryum, rad przyjmował i odwiedzał chorych tłumnie spieszą-

cych do uczonego doktora. Dowcip, nadzwyczajna grzeczność i towarzyskość tem więcej zjednały mu ludzi i wkrótce po przybyciu do Wilna otoczony był cierpiącymi, szukającymi porady. Wszystko razem jak wieniec splatało się dla jego korzyści, jednając mu sławę i majątek.

Obok ważnych zatrudnień publicznej edukacyi, obok niezmordowanych usiłowań dla ulgi cierpiącej ludzkości, rozmyślanie i prace naukowe były ciągłym żywiołem rzutnego, bogatego, genialnego w pewnym stopniu umysłu Śniadeckiego. Bo też dobrze rozumiał czem być powinien.

W pierwszym rzędzie zajęło go słownictwo naukowe polskie, gdyż podobnie jak brat, pierwszy w Polsce zaczął wykładać matematykę po polsku, Jędrzej Śniadecki pierwszy wykładał chemię w języku rodzinnym. Nieopisanych trudności nastręczyła mu ta okoliczność. Bo też dwie rzeczy należy pogodzić w układaniu takiego słownictwa. Słowo wyrażające jakiś przedmiot nauki, musi ściśle odpowiadać, w sobie zamykać dokładnie określone znaczenie dla uniknięcia zawiłych frazesów i dla uzyskania jasności w piśmie lub wykładzie, następnie musi się zgadzać z duchem języka. W jaki sposób udawało się to temu uczonemu zobaczymy poniżej; z kolei rzeczy zajmiemy się nową pracą, jedną z wielu, które wytrwałość, zapał, poczucie kapłaństwa nauki Śniadeckiego na świat wydały. W roku 1799 wezwany został przez grono kolegów do uroczystego otwarcia roku szkolnego na wszechnicy, publicznym odczytem. Jakiż wybrał przedmiot? We wszystkich myślach i badaniach przewodnią gwiazdą było mu usposobienie jego umysłu na wskróś filozoficzne, które go też wkrótce postawiło w pierwszych szeregach filozofii przyrodniczej i które wszystkie jego dzieła tak dobitnie cechuje. Otóż na ów wykład publiczny wybrał mowę „O niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych“. Mowa ta wyszła w druku.

„Od najdawniejszych czasów“, mówi Śniadecki, „ścisła nad samym sobą uwaga nauczyła człowieka, iż nie zawsze bez błędu na wyrokach ludzkiego umysłu polegać można, a uczeni starali się pewne rozumowaniu przepisywać granice, za które w naukach wykraczać nie godziło się. Ale nie pojmuję, dlaczego ci sami, którzy władzę myślenia tak surowemi obostrzyli prawidłami, przypisywali zupełną nieomylność doświadczeniu i jego się wszędzie nieodstępnie trzymać kazali“...

To była myśl przewodnia mowy, w której język, logiczna ścisłość wywodów szły w zawody z barwnością opowiadania.

„Doświadczenia“, prawił wymowny profesor, „które naukom za fundament i rozumowi ludzkiemu za prawdziwe podpory, za prawdziwe pochodnie służą, są to zdarzenia codzienne, ustawiczne, wszystkich uderzające, ale przez to samo nadto u gminu uczonych pospolite, nadto zaniedbane i wzgardzone od nas, którzy się częstokroć za subtelnościami, za uczonemi fraszkami, niedostępnymi jakimiś widokami uganiamy i potrzeba pasma długiego wieków, nim się zdarzy szczęśliwy ów geniusz, który się na nich należycie pozna, a porzuciwszy uczone subtelności i romansowe doświadczenia, wzgardziwszy krzykiem motłochu i fanatyków, na niewzruszonym tym fundamencie nieśmiertelną budowlę sławy i pożytku dla rodzaju ludzkiego ugruntuje“...

Jeżeli w tej mowie nie wyczerpał Śniadecki wszystkiego, jeżeli dziś mógłby ktoś zarzucić jej treści, że zbyt lekceważy doświadczenie, to na zawsze zostanie prawdą przestroga tu wyrażona, że trzeba dobrze myśleć i dociekać podstaw doświadczenia, by nie popaść w lekkomyślne błędy, których tak wiele powstaje z powodu ślepej wiary w doświadczenie i wnioskowanie często li tylko z pozorów. Jeżeli w mowie tej autor łamał się z językowemi trudnościami, jego to zasługa, że na ubogą niwę polskich umiejętności wprowadzić usiłował język czysty i jednolity, dając tem samem bardzo wiele w epoce, w której dopiero nauka wyzwoliła się z obowiązującej gwary łacińskiej i zaczęła być swojską i dostępną wielkiemu społeczeństwu. Zawsze jednak mowa ta dla badacza działalności Śniadeckiego jest pełną znamion, jest łącznikiem między zasadami nabytemi w czasie jego studyów uniwersyteckich, a dziełami wychodzącemi kolejno w ciągu zaszczytnego żywota.

W roku 1800 w Wilnie wyszło dwutomowe dzieło pod tytułem „Początki Chemii“. Kilka lat stracił wileński profesor chemii, zanim dał swym uczniom podręcznik nie tylko oparty na najnowszych kierunkach tej nauki, ale także książkę polską, wypracowaną wzorowo. Jest to pierwszy podręcznik chemii w polskim języku i ta właśnie okoliczność jest podstawą sławy i rozgłosu Śniadeckiego. Dotychczas pozyskał mieszkańców Wilna jako zapobiegliwy, poświęcający się po-

wiernik i przyjaciel swych pacyentów, jako imponujący świetnością wykładu profesor; wreszcie człowiek, który tyle świata zwiedził był przedmiotem podziwu dla domatorskich Litwinów. Z Wilna sława w okrąg rozszerzała się i Śniadecki jako „sławny doktór“ wzywany przez chorych zwiedzał dalekie i zapadłe zakątki Litwy, lecz kiedy „Początki Chemii“ ujrzały światło dzienne, cały uczony świat zainteresował się wileńskim uczonym.

Przebiegając w chronologicznym porządku dzieje tego uczonego, dowiemy się jakich losów i zmian doznała książka niniejsza, teraz zaś odbiegniemy od porządku, ponieważ wybitna, pierwszorzędna cecha tej książki t. j. słownictwo czyli nomenklatura polska zasługuje na osobne omówienie. Wiadomo nam, że słownictwo wymaga ścisłości w określaniu i zgodności z duchem języka. Można też sobie wyobrazić jakie trudności częstokroć nieprzełamane miewał autor, z łacińskich, francuskich, niemieckich wyrazów kując słowa polskie wprawdzie, ale takie, jakich nigdy dotychczas nie używano. Jak wiele dowcipu potrzebował, wątpić nie można; olbrzymią dozę sprytu, dowcipu i energii wypotrzebował, bo wiedział, że stanie przed uczonym światem, który za lekkomyślne i bałamutne słowa pociągnie go do odpowiedzialności. W kwestyach, w których nie mógł wybrnąć łatwo, wybierał przedewszystkiem słowo odpowiadające ściśle prawdzie naukowej a w wątpliwych kwestyach wolał wybrać ścisłość i jasność, ducha, języka stawiając w tej konieczności na planie drugim. W terminologii opierał się na uchwałach towarzystwa chemików w Paryżu w 1787 r.

Jakiejże doznał pociechy i osłody, kiedy po sporach z innymi współzawodnikami zyskał palmę pierwszeństwa. Słownictwo Jędrzeja Śniadeckiego uznano za najlepsze. Bo powtarzać nie trzeba, że w epoce tej we wszystkich gałęziach powstawali ludzie, z dobrze zrozumianej zasady starający się o możliwie najczystszą i najracyonalniejszą polszczyznę. Otóż i w chemii w kilka lat po wydrukowaniu pierwszego wydania „Początków Chemii“ powstał niby uczony, właściwie dyletant, z zamiłowania chemię uprawiający, Aleksander Chodkiewicz. I on wydał „Chemię“ używając w całej książce wyrazów przez siebie potworzonych. Kiedy Śniadecki w 1817 r. ogłosił nową trzecią edycyę „Początków Chemii“ w przedmo-

wie zwrócił się do nowatorów w nomenklaturze i słusznie powstał przeciw rozmaitym niedowarzonym literatom i niby uczonym, zarzucając tym wszystkim bez wymienienia nazwiska, że rozsiewając po dziennikach i ulotnych pismach rozmaite szumne rozprawy, przeładowują je takiemi bzdurstwami, sklejają najnieszczęśliwsze słowa naukowe, przez co obałamucają czytelników i przynoszą szkodę popularyzowaniu się umiejętności.

Nie wiadomo kogo miał Śniadecki na myśli, to fakt, że Chodkiewicz uczuł się obrażonym i powstał przeciw tej przedmowie.

Przy wydaniu swej książki, na czele słownika chemicznego umieścił rozprawkę polemizującą z wywodami Śniadeckiego, starając się zarzuty odeprzeć. Z tego powodu Śniadecki uczuł obowiązek odpowiedzi, którą umieścił w Pamiętniku warszawskim p. t. „List do redaktora Pamiętnika warszawskiego, o tworzeniu nowych wyrazów naukowych, zwłaszcza w chemii, z powodu sporu o nie z hr. Aleksandrem Chodkiewiczem". Skutkiem tych pism publicznych sprawa wytoczoną została przed wszystkich ludzi tem się zajmujących i jak wspomnieliśmy, Śniadecki doznał tej przyjemności, że zyskał w opinii znawców przewagę nad swym współzawodnikiem, który za zasadę zmian w swej nomenklaturze nie brał istoty rzeczy, ale raczej same brzmienia gramatyczne języka. Słowem, cokolwiek stanie się kiedy z słownictwem chemicznem, Śniadecki pełnie słusznie zostanie nazwany zawsze i wszędzie twórcą polskiego chemicznego słownictwa. We Lwowie w 1897 r. obchodzono uroczyście stuletnią rocznicę wstąpienia Jędrzeja Śniadeckiego na katedrę chemii wileńskiej wszechnicy, w gmachu chemicznym u wejścia do sali wykładowej wmurowano marmurową tablicę pod popiersiem tego ojca polskiej chemii i wyryto złotemi głoskami:

JĘDRZEJOWI ŚNIADECKIEMU
ZNAKOMITEMU BADACZOWI PRZYRODY
ZASŁUŻONEMU NAUCZYCIELOWI
UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO
W SETNĄ ROCZNICĘ
ROZPOCZĘCIA POLSKICH WYKŁADÓW
W CHEMII

DNIA 30 LISTOPADA 1897.

Jako przykład, jak rozumnie powoduje się Śniadecki w dobieraniu wyrazów niechaj służy wyjątek z listu do redaktora Pamiętnika warszawskiego: „Mówiąc hrabia o moim wyrazie *kwasu węglowego* (wyrazu, który się do dziś i na zawsze utrzyma) uważa, iż potępiam wprowadzony natomiast od niego *kwasu węglikowego*. Nie potępiam go wprawdzie, ale go przyjąć nie mogę, bo naprzód *węglowy* jest wyraz prawdziwie polski, słowa albowiem węgiel i węglowy albo węglany są odwieczne, kiedy o niczem węglikowem u nas nie słyszano. Powtóre, autor będąc obeznanym z obecnym stanem chemii, jako ten, który ożywiony miłością nauk i chęcią oświecenia rodaków mniemał, iż należało przerwać za długi letarg i oswoić rodaków z nowościami, które z winy samychże uczonych naszych były dla większej części narodu obcemi, zapewne nie wie, że podług najnowszych i najdokładniejszych doświadczeń nie masz żadnej różnicy chemicznej między czystym węglem a tak zwanym węglikiem; a jeżeli się chce sam o tem przekonać, niechaj rozłoży kwas swój węglowy przez potaż, a zobaczy iż otrzyma czystą sadzę czyli węgiel. Więc zasadą tego kwasu jest nasz węgiel, a dawniejszy mój nawet wyraz węglika stał się mniej potrzebnym, a zatem niepotrzebnemi i potworzone z niego nowe hrabiego słowa: kwasu węglikawego i węglikanów".

W innem miejscu nader zręcznie określa jak przyjmował słowa utarte, zamiast żmudnej a niepotrzebnej gonitwy za wyrazami nowymi:

„Słyszałem n. p. często o wodach siarczystych lub siarczanych, o parze siarczanej, itp. słyszałem także o żupach solnych, o handlu winnym, o ziemi pruskiej itd. Nie zrobiłem więc bez potrzeby żadnego nowego nazwiska, ale kwasy i podkwasy (dzisiejsze bezwodniki kwasów t. j. ciała utlenione, tlenki za dodaniem wody zamieniają się w kwasy) nazywałem używanymi w naszym języku wyrazami: siarczanego, solnego, winnego i pruskiego. Podobało się hrabiemu, ażeby się raczej nazywały siarkowym, (dziś używanym wyrazem) solowym, winowym (również dziś wprowadzonym) prusowym, niechże więc podług tej ważnej w języku poprawy znikną na przyszłość i żupy solne i handle winne i moneta pruska, a solowe, winowe i prusowe niechaj zastąpią ich miejsce, a je-

żeli się to narodowi podobać będzie, ja sam na przyszłość nie odważę się mówić inaczej".

A wobec osoby Chodkiewicza tak się tłumaczy: „Mówiąc zaś przeciwko gwałcicielom i napastnikom języka naszego, nie rozumiałem, ażeby hr. Chodkiewicz ozdobiony skądinnąd mocnem przywiązaniem do wszystkiego, co jest narodowem, mógł powstać na mnie; owszem, powinien się łączyć z tymi, którzy bronią języka jego przodków, powinien stanąć na czele pospolitego ruszenia przeciw Wandalom literackim, którzy napadają na odwieczną i najdroższą własność naszą, to jest świętą mowę Chodkiewiczów, Tarnowskich, Zamojskich, Czarnieckich, równie jak Kochanowskich, Górnickiego, Orzechowskiego, Skargi, że nie wspomnę tylu innych późniejszych i współczesnych mężów, którzy orężem lub piórem swoją ojczyznę zaszczycają".

Rok 1800, rok wydania „Początków Chemii" obszernego i tak potrzebnego podręcznika dla młodzieży, jest błogosławionym rokiem w życiu Śniadeckiego. Gdy bowiem raz już sił swoich spróbował, zapalił się, zagrzał do nauki produktywnej, uwierzył, że pisać potrafi i znalazł czas poza pracownią i praktyką lekarską, by pracować nad dziełem, o którem już wspomnieliśmy, że zaczął w Edynburgu po łacinie kreślić szkice do niego. Była to jedyna i pierwsza w Polsce tego rodzaju książka, licząca niewiele podobnych w literaturze światowej, owoc dociekań głębokich i rozmyślań opartych na wiedzy zdobytej tyloletnią nauką i baczną obserwacyą otaczającego świata. Śniadecki wystąpił w tem dziele jako pierwszorzędny filozof, dzieło to, chlubę jego życia, nazwał: „Teoryą jestestw organicznych".

W dziele tem wystąpił z przedmiotem zawsze przez niego umiłowanym, z przedmiotem, który ze wszech miar między najwybitniejszymi postawić należy, ponieważ dział ten nauki nazwany fizyologią jest właściwie wytłumaczeniem życia i jego objawów na podstawie badań własnych i wielu innych nauk. Fizyologia więc zajmuje zwykle wszystkich wybitniejszych myślicieli, albowiem w naukach przyrodniczych żaden dział nie nastręcza tyle refleksyi, tak wielkiej ilości materyału filozoficznego, jak właśnie fizyologia z nieodłączną biologią.

To też nie dziw, że bystry umysł Śniadeckiego zapra-

gnął badań i wniosków w kwestyach życia i praw jego. Kilka lat strawił nad pisaniem, nie licząc lat nad obmyśleniem strawionych i wydał dzieło, może nie zawsze odpowiadające obecnym pojęciom, wobec nieznajomości wielu prawd, zapewne częstokroć błędne, ale gdy pomyślimy, że dzieło to wyszło w epoce fizyologii filozoficznej, kiedy poznane objawy wyjaśniane były rozumowo, w czasach, kiedy fizyologia eksperymentalna stawiała słabe i chwiejne kroki i właśnie rozum „logiczny“ miał przewagę, przyznać musimy, że dzieło Śniadeckiego stało się ozdobą tej epoki.

Z drugiej zaś strony jakiekolwiek kiedy kto błędy dziełu temu wytknie, powołując się na coraz to nowsze zdobycze wiedzy, niechaj nie zapomina, że w swoim czasie, aż do pojawienia się teoryi Darwina, teorya Śniadeckiego była wiarygodną, cenioną przez cudzoziemskich fizyologów, a równocześnie wytworem i dowodem wykwintnego umysłu i wysokiej mądrości autora, co zawsze pozostać musi jako zaszczytny pomnik i chwała, choćby z biegiem nauki wszystkie wiersze tej książki stały się nieaktualne albo niedorzeczne.

Wartość więc „Teoryi jestestw organicznych“ jest bez przesady wielką i znakomitą, tutaj przeto należy się jej osobne miejsce.

IV.

Teorya jestestw organicznych.

Odkąd istnieje na świecie czynność umysłowa nazywająca się nauką, odtąd ludzie w tej nauce zatrudnieni zyskali sobie najszczytniejsze miano mędrców, dlatego, że najzawilsze zagadki bytu ziemskiego i tajemnice praw rządzących tym bytem na siebie podejmowali i starali się społeczeństwo oświecić, albo przynieść stokrotne usługi swemi odkryciami.

Osobny dział nauk przyrodniczych liczył całe szeregi pracowników, ba, nawet liczył ich najwięcej z pomiędzy wszystkich, ponieważ nauki przyrodnicze niemal wyłącznie służą i są niezbędne dla życia narodów i ich cywilizacyjnego rozwoju. Najmniejsza drobnostka wchodzi w ścisły związek z prawami przyrody. Wreszcie nauki przyrodnicze same przez się budzą niepowściągliwą ciekawość mędrców i uczonych, albowiem one dają lub dać mogą wytłumaczenie tajemnic wszystkich obja-

wów spostrzeganych rozumem człowieka, zjawisk budzących tak często to grozę, to uczucie potęgi, to marności, to nieudolności człowieka w obec cudów przyrody, albo też żądza zwycięstwa i odkryć wielkich pobudza uczonych do myśli, a wówczas każdy z nich musi się zwrócić ku zakrytym oku prawom przyrody i z nich dopiero czerpać materyały.

Odkąd historya istnieje, odtąd istnieją przyrodnicy. Wybitni z pośród nich usiłowali zawsze dotrzeć do jądra rzeczy t. j. do pochodzenia wszechrzeczy i zostawili swe systematy, swe filozoficzne dzieła. Podziwiano i dziś podziwiamy rozum mędrców z najodleglejszej starożytności, systematy ich zaś upadały wówczas, kiedy nowy filozof nowemi spostrzeżeniami obalił poprzednika. W ten sposób historya nazbierała cały łańcuch niby odkrytych prawd i podobnie jak dzisiaj odrzucamy te wszystkie stawiając najnowszą jako najlepszą, tak w poprzednich wiekach nowy poziom nauk zwaliwszy poprzedni, panował wszechwładnie.

Jak nigdy przedtem, filozofia przyrody rozwinęła się w wieku XVIII i trwa w całej pełni do dzisiaj; owszem nawet zyskuje wyłączne prawo sądzenia o wszystkich faktach i wydarzeniach istniejących na ziemi. Słusznie, dawno nauka naturalnym biegiem rozwoju skłaniała się ku szukaniu prawdy i praw faktycznie na ziemi istniejących, coraz więcej oddalała się od bezpodstawnych, gołosłownych rozumowań, lub opierania się na dogmatach.

Ponieważ Śniadecki wychował się na dziełach XVIII wieku, należy więc przedstawić, choćby w krótkości jak wyglądały wówczas pojęcia przyrodnicze i czem właściwie była owa filozofia przyrody. Dlatego by niepotrzebnie nie rozwlekać rzeczy, bo nie tej praca niniejsza poświęcona, nie będziemy zajmowali się, czem były różne gałęzie nauk przyrodniczych w zakresie ziemi jako takiej, roślin, zwierząt i człowieka, przedstawimy sobie treść nauk i jej zasadnicze pojęcia.

Pierwszym przyrodnikiem, który po Arystotelesie podjął myśl ugrupowania tworów żyjących w szeregi był Lineusz, należący właśnie do ery XVIII wieku, w którym jak wspomnieliśmy przyroda po raz pierwszy stanęła jako skarbnica dla wszystkich chcących się jakiejś prawdy dowodnie dowiedzieć.

Ojcem poniekąd filozofii przyrody jest niemiecki filozof Leibnitz. Filozof ten podał teoryą, że cała przyroda, ustrojowa

i nieustrojowa składa się z niepodzielnych już jednostek, które nazwał „monadami“. Monady uznał za osobniki sobie równe pod względem bytu, różniące się zaś tylko właściwościami. Właściwości te stopniują się, są więc „monady“ mniej, lub więcej wartościowe, a przytem od siebie zależne tak, iż przyszedł do przekonania, że „natura non fecit saltum“, przyroda skoków nie czyni. Związek przyczynowy między istotami tak mu się wyraźnie przedstawia, że nawet domyśla się istoty pośredniej między małpą a człowiekiem, istniejącej gdzieś na innym świecie. Monady początek swój biorą z nicości przez stworzenie i to stworzenie stanowi dostateczną przyczynę istnienia wszechrzeczy. (Das Prinzip vom zureichenden Grunde). Stworzenie i ścisłe powinowactwo monad wytwarza zasadę harmonii wszechświata.

Fryderyk Wilhelm Schelling był już o krok postępowszym przyrodnikiem filozofem, gdyż podobnie jak Kant zajmował się kwestyą, jak powinniśmy badać i o ile rozum ludzki może, lub niemoże wierzyć własnym spostrzeżeniom. Doszedł zaś do przekonania, że umysł ludzki jest w stanie dojść do takiej świadomości, żeby wartość tej świadomości była równą wartości badania jakiegoś prawa przyrody. W przyrodzie przyjął zasadę bezwzględnej całości, przyjął istnienie pierwiastków z których wszystko pochodzi. Ten punkt wyjścia nazywa „trójkątem istnienia materyi“ którego liniami są, magnetyzm, t. j. cecha zasadnicza jednostki byt zaczynającej, elektryczność, a trzecią linią sprawy chemiczne.

Poglądy te mają tę zasłużoną podstawę, że wywołały pojęcie o całości i wzajemnym stosunku wszystkiego na ziemi. One wciągnęły cały obszar świata w jedno ognisko badań i dały podwalinę umiejętnej fizyologii, a później w miarę rozwoju, w dzisiejszych już czasach do umiejętnej psychologii.

Jerzy Prochaska z Wiednia orzekł, że siły żywotne nie są osobnemi siłami organizmów, lecz są to ogólne siły przyrody.

Nader wybitnym fizyologiem był Wawrzyniec Oken, na podstawie wielu poprzedników uprawiający przyrodnictwo ze ścisłością filozoficzną. Wedle Okena przyroda jest to odwieczne przemienianie się Boga w świat. Poucza nas ten badacz jak to świat się rozwijał z pierwotnej nicości, jak w wszechświecie powstawały pierwiastki i ciała, w jaki sposób ulegały

rozwojowi i wreszcie stały się organizmami, aż do wytworzenia się człowieka.

Był to już fizyolog doskonały, jakkolwiek nauka jego to również dzieło odpowiadające charakterystyce nauki XVIII wieku. Eksperymentalne badania poniekąd zdobyły poważne prawo w pracowniach, myśli jednak filozoficznie ugrupowane nęciły przecież tych badaczy do tego stopnia, że z eksperymentów dzisiaj może nie wiele znaczących, bardzo chętnie dopatrywali się oni daleko idących rzeczy i czynili bardzo obszerne wnioski.

On również przyjął bezwzględny pierwiastek, który jest Bogiem i rozróżnił idee Boga jako: ciężkość, eter; ciemność i chaos; następnie eter naprężony, światło; trzecią zaś ideą jest ciepło. Te idee trwają na naszej ziemi wiecznie i objawiają się w każdej materyi. Pierwotną materyą jest eter, ten niepodzielny na jednostki indywidualne tworzy chaos. Eter ze światłem i cieplikiem stanowi ogień, co z tego zostaje jest materyą. Ziemia jest taką materyą, a kształtu swego nabyła przez skrystalizowanie i te kryształy są tak olbrzymie, że kilka ich stanowi całą naszą planetę mającą postać wielościanu o niezliczonej ilości boków (kula). Walka ciężkości ze światłem wytworzyła magnetyzm, siłą życiową jest galwanizm.

Organizmem nazywa Oken osobniki, wszystkie własności zawierające same w sobie, życie też polega na samodzielnem wytwarzaniu życiodajnych, wyżej przytoczonych pierwiastków.

Węgiel jest podstawową materyą świata organicznego i ten trwa wiecznie, jak cały wszechświat jest nieśmiertelny, wszystkie zaś jestestwa są czasowe, a śmierć jest tylko zmianą ku innemu życiu.

Funkcye organizmu są wielorakie: a) magnetyczne jako odżywcze, b) wodne t. j. trawienie, c) powietrzne, oddychanie utrzymujące elektryczne naprężenie, wszystkie zaś razem dają siłę życiową czyli galwaniczną, d) funkcye eterowe t. j. ciężkość np. kości, e) cieplik, którego sprawą jest funkcya mięśni, f) światło, objawiające się w funkcyi systemu nerwowego.

Wszystkie powyższe funkcye są ogólno ustrojowe lub są cechą pewnych narządów i wyjaśnieniem tego zajmuje się fizyologia drogą eksperymentu. To właśnie jest zasługą Okena, że wartość nauki czynił zawisłą od eksperymentu i w pismach

swych wytknął wyraźnie, iż czegokolwiek fizyolog pragnie się dowiedzieć, musi iść drogą badań praktycznych. Lecz czy on stawiając wnioski, dowiedział się o nich tylko z eksperymentów, słusznie można powątpiewać. Bo gdy podstawimy sobie śmiałość podobnych poglądów, nawet po odliczeniu pewnych naiwnych ze stanowiska dzisiejszej nauki twierdzeń, musimy przyjść do przekonania, że eksperymenta Okena setnej części jego zapatrywań nie udowodniły. Ale początek był zrobiony, gdyż Oken nie siedział zadumany, tylko pracownię obrał sobie za pole pracy.

Jak widać z tych kilku przytoczonych zdań bystrzejszych badaczy, już przed naszą erą zaczęto dopatrywać się łączności wszystkich istot i wszystkich zjawisk na ziemi i wszechświecie i zwolna zaczął się wyłaniać ów prawdopodobny pogląd, który dziś wyznajemy zyskując z dniem każdym coraz więcej dowodów i chociaż niejeden szczegół i zwrot naszej nauki upadnie, mamy pewną uzasadnioną nadzieję, że transformizm czyli wzajemne pochodzenie rzeczy i ugrupowanie w należnym porządku wszystkich tworów będzie już na zawsze podstawą w naukach o prawach przyrody.

W niniejszem szkicowem przedstawieniu pomijamy szczegółowe odkrycia i przytoczonych mistrzów, podając jedynie kwintesencyą ich pojęć i badań, pomijamy i wielu innych filozofów lub systematyków, nie będziemy opisywali jakie zdobycze miała i jakie postępy uczyniła chemia właśnie w XVIII stuleciu, obrana z mamideł alchemii i fantastycznych mrzonek przez Boerhavego, Stahla, Cavendisha, Bertholleta, Lavoisiera i skierowana na doświadczalne i ścisłe tory, nie zajmiemy się rozwojem fizyki i zdobyciem wielu praw przez Daltona, Wollastona, Gay Lussaca i wielu innych, tylko nie pominiemy uwagi, że drogą odkryć Galvaniego i Volty powstała nowa nauka o elektryczności, od razu zyskająca rozwój wspaniały i szybki.

Wszystkie inne zresztą gałęzie nauk przyrodniczych, skoro raz oparły się na racyonalnej podstawie wzajemnej zawisłości i powinowactwa, święciły wzrost szybki, tak iż Śniadecki w swej „Teoryi jestestw organicznych“ miał trudne zadanie, musiał wiele czytać, zanim obeznał się z dotąd istniejącemi pojęciami, musiał wiele myśleć, by z licznych spostrzeżeń wybrać najdowodniejsze.

Zwolna i na sztukę lekarską wpłynęły rozwijające się zasady transformizmu, człowieka zaczęto też badać jako część przyrody. To wszystko zastało wreszcie wiek XIX; wiek ten zajaśniał wielu wybitnemi znakomitościami, których hasłem wyłącznie były: ścisłość doświadczeń i surowa krytyka wniosków i spostrzeżeń.

I na tem tu miejscu moglibyśmy rozpocząć przedstawienie „Teoryi jestestw organicznych“ gdyby nie okoliczność, że dla porównania teoryi Śniadeckiego wartoby nie tylko zacytować jego poprzedników, lecz także przedstawić choćby najzwięźlej, że Karol Darwin pojawiający się około połowy XIX stulecia, swemi dziełami posunął pojęcia przyrodnicze naprzód w niebywały sposób. Żaden z jego poprzedników nie posunął się tak genialnie i dowodnie w myśl łączności i zależności wszystkich istot na ziemi, ten więc twórca i przedstawiciel dzisiejszej filozofii przyrodniczej rzekomo zabija, wali, rzuca w zapomnienie wszystkie poprzednie teorye, a więc i teoryę Śniadeckiego, lecz tylko rzekomo, ponieważ on nic nowego nie powiedział, tylko w nauce tworzącej po wieki wieków silne ogniwa, ukuł nowy, potężny łańcuch, rozświetlił rzeczy, których się przedtem może tylko domyślano.

Niejako wierzchołkiem, dominującym wyrazem teoryi Darwina jest teorya pochodzenia. Od chwili pojawienia się w roku 1859 noszącego właśnie to piętno dzieła pod tyt.: „O pochodzeniu gatunków“ w dziełach Darwina, Haeckla i wielu najnowszych badaczy rozmaitym wyjaśnieniom i modyfikacyom uległy spostrzeżenia tego największego przyrodnika XIX wieku.

Ale ostały się trzy na doświadczeniach oparte poglądy, o zmienności, zdolności dziedziczenia i produktywności istot żyjących. Poglądy te stały na nowem stanowisku, bo jakkolwiek wspólność praw i zależności istot żyjących przyjęto przedtem, każdy rodzaj z osobna był stały i niezmienny w teoryach poprzedników. Pierwszy Darwin w podróżach swych spostrzegł, że rośliny i zwierzęta przedstawiają bardzo wiele rozmaitości w tych samych rodzajach, mniej lub więcej różniąc się od typowych swych przedstawicieli. Znalazł wreszcie i opisał wypadki tak charakterystycznie od swych typów oddalających się zwierząt lub roślin, że uznał te osobniki za nowy poczynający się rodzaj. Przyczyn szukał Darwin w warunkach

otaczających te istoty i znalazł potwierdzenie tego mniemania w rozlicznych przykładach, z których ogólnie znane są, dwoistość zachowania się odpowiednio do pory roku, przystosowanie się funkcyonalne, czyli skutki używania lub nieużywania części ciała, jak mięsiste barki dźwigacza, nogi tancerki i t. d. następnie emigracya z jednego klimatu do drugiego, z czego znowu wyłoniło się przypuszczenie, że każda istota ma swoje pewne środowisko, w którem powstała. Te i wiele innych objawów złożyły się na teoryę o zmienności gatunków.

Drugie zasadnicze zdanie o zdolności dziedziczenia nowo nabytych przez rodziców własności, umotywował Darwin również licznymi przykładami. Najdosadniejszem określeniem tej zdolności dziedziczenia jest to, że jeśli dwa indywidua zmieniają się w jednym kierunku, to potomek tę pewną nową cechę dziedziczy w formie wyraźniejszej i wybitniejszej. Jeżeli znowu gatunki są odosobnione tak, że przystosują się do warunków stałych, następuje dziedziczność w kierunku wstecznym tj. odradzanie się do form pierwotnych czyli tak zwany atawizm.

Zdolność przystosowania się i dziedziczenia dały podstawę do przypuszczenia, że jak z jednej strony istota żyjąca dostroi się do warunków otoczenia, tak z drugiej strony z całym zasobem swej indywidualnej zdolności szuka najdogodniejszych warunków istnienia, co otrzymało wszystkim znaną, tak popularną nazwę „walki o byt“. Do tejże również właściwości dołączyć można zasadę naturalnego doboru, polegającą na tem, że w tej olbrzymiej mnogości rozmaitych odmian tego samego gatunku utrzymują się wreszcie te tylko, które najlepiej do warunków przystosować się umiały.

Konsekwencyą naturalnego doboru jest podział pracy, cechujący się znowu tem, że do pewnych czynności organizm specyalizuje i coraz doskonali odpowiednie organy tak dalece, że istnieje nawet zmiana funkcyi organu, jeśli wymaga tego cel, tj. walka o byt.

Konsekwencyą podziału pracy bywa to, że pewne organa danego indywiduum właśnie nie otrzymały w udziale żadnej pracy, dlatego, że to już do walki o byt potrzebnem nie było. Te przeto pewne organa w pokoleniach wprost zanikają i potem istnieją jako organa zanikowe czyli szczątkowe,

zanikając wreszcie bez śladu. Przykładów na powyższe twierdzenie baczny przyrodnik może znajdzie najwięcej.

Wszystkie powyższe poglądy składają się na dominującą w dzisiejszych przyrodniczych rozumowaniach, celowość w naturze.

Poza tem istnieją atoli wielorakie objawy tyczące się piękności natury, barw właściwych różnym istotom, zapachu, smaku i t. d. I tu też genialny Darwin wytłumaczył te fakta nazywając je „doborem płciowym“ znowu na przykładach stwierdzając, że wszystkie szczególne znamiona znajdujące wyraz w tej niejakiej, rzec by można, zalotności natury, służą osobnikom płci męskiej i żeńskiej do odnajdywania się w celu wydawania owocu lub potomstwa. Np. nie ulega wątpliwości, że owady są niemal głównymi pośrednikami w zapładnianiu się kwiatów. Otóż spostrzeżono, że właśnie barwa i zapach służą na przynętę owadom, idącym na tę przynętę.

Cała teorya Darwina posłużyła do tego, by system ugrupowania istot żyjących wszystkich, bez wyłączenia człowieka, wbrew niepewnym usiłowaniom poprzedników, śmiało i wyraźnie ułożyć w naturalne szeregi, wzajemnie sobie pokrewne, słowem, zaprowadzono system genealogiczny, wyprowadzający gatunki i rodziny zawsze od jakiegoś pierwotnego pnia lub praojca.

A więc to wszystko urodziło zasadnicze pojęcie o tworzeniu się istot organicznych czyli żyjących, krystalizujące się w tych słowach: istota organiczna powstała na podstawie praw fizycznych, mechanicznych. Że takie postawienie kwestyi musiało wstrząsnąć ludźmi wierzącymi w biblijne stworzenie świata, wątpliwości nie ulega, roztrzygnięcie atoli sprawy, czy Darwin przeczy stworzeniu świata, należy do rzeczy bardzo łatwych i prostych, więc wszystkie napaści i wyklinania badań poważnie i z godnością geniuszu podjętych, są nizkie i bezpodstawne.

Że „Teorya jestestw organicznych“ niepoślednio wyprzedza przekonania i zasady poprzedników, będziemy się mogli niebawem przekonać, ale że ostoi się wobec teoryi najnowszej, uznanej za najlepszą, jest również prawdą. Ba, gdyby Jędrzej Śniadecki nie był Polakiem, nie mielibyśmy tej chluby i dumy narodowej, ale dziełu jego byłoby znacznie lepiej, dzieło to w historyi światowej nauki zajęłoby bardzo wysokie miejsce,

gdyby było odrazu wszystkim uczonym dostępne. To, że nie zyskało zasłużonego rozgłosu i pamięci, nie umniejsza wartości teoryi, bo ktokolwiek powołany do ocenienia tej pracy, poznał ją, przyznawał jej wielkie zalety.

W sześć lat po wydaniu „Teoryi j. o.“ t. j. 1810 r. książka została przełożoną na język niemiecki, zyskała wybitne uznanie Millera profesora fizyologii w Berlinie, Tiedemanna znakomitego fizyologa w Heidelbergu, w r. 1825 przełożono ją na język francuski i opatrzono przedmową, świadczącą, jakiem uczuciem podziwu i szacunku byli tłumacze przejęci wobec znakomitości dzieła i autora, a badający historyę nauk mają liczne poszlaki, że wielu autorów późniejszych przejmowało się pojęciami wileńskiego profesora. Miller tak się wyraża o teoryi Śniadeckiego: wspaniałe, niestety bardzo nieznane dzieło, w którem z głębokością filozoficzną i matematyczną metodą prowadzone badania wskazują, na czem oprzeć należy podstawy medycyny; podług mnie, jest to pierwsza filozoficzna podstawa naukowego systemu w medycynie.

Baliński w życiorycie Śniadeckiego powiada, że wszystkie tytuły Jędrzeja Śniadeckiego do sławy i wdzięczności rodaków, prześcignęła „Teorya“ daleko pod względem powszechnego użytku w rozszerzeniu granic umiejętności fizycznych i lekarskich; dzieło, któremu najpierwsi uczeni cudzoziemscy nie wahali się przyznać prawdziwie genialnych poglądów w fizyologii. Wystawił w niem autor ogólny widok praw organizacyi życia istot żyjących; ustanowił początki i zasady, na których teorya jestestw organicznych ma się opierać; rozważył z rzadką przenikliwością cały bieg życia materyalnego zwierząt i roślin, wykładając właściwym sobie sposobem działanie i wpływ różnych ciał w naturze na jestestwa życiem organicznem obdarzone; nakoniec całą pierwszą część swej nauki zawarł treściwym i nader zajmującym obrazem nauki Browna, która niegdyś tyle go uderzyła, której rozwaga może mu popęd do głębokich myśli w teoryi jestestw organicznych nadała, nauki, która w upadku swym jeszcze podziwienie dla jej twórcy wzbudzić powinna. W tomie pierwszym tego na zawsze pamiętnego dzieła, Jędrzej Śniadecki okazał się jednym z najznakomitszych filozofów tego wieku. Jego odkrycia zadziwiają szczęśliwą trafnością. On to właśnie na wiele lat przed sławnym chemikiem Davy objaśnił fenomena wulkaniczne i nową,

niezmiernie jasną ich teoryę podaje; on pięknym wywodem rzeczy, gruntownością dowodów ujmuje i przekonywa czytelnika i tym sposobem posuwa oświatę w swym kraju śmielej i prędzej, wiele niższych szczeblów przeskakując; on bez wzoru i przykładu u swoich, rozwija w naturalnym a zarazem wdzięcznym toku mowy, wszystkie skarby swego płynnego stylu, a przez to wzbogaca jak nikt dotąd język i literaturę ojczystą.

W przedmowie do tomu I wydanego w r. 1804 usprawiedliwia się autor, dlaczego pisać zaczął i od jak dawna marzył, bo jeszcze w Edynburgu, by luźnie schwytane spostrzeżenia ułożyć w porządku. Niejako przeczuwając, że napotka ignorantów lekceważących jego rozmyślania, broni się w następujący sposób: „Wiem ja, iż wielka część uczonych jest nieprzyjaciółką wszystkich teoryi i systematów, owszem każdego w sztuce lekarskiej rozumowania; wiem, iż zły los wszystkich wprowadzanych w tę umiejętność tłumaczeń, może tak surowe zdanie poniekąd usprawiedliwić. Ale czyż dlatego taki sposób myślenia nie jest podlący w oczach medyka filozofa? czy nie jest prawdziwą umysłu ludzkiego chorobą, która umiejętność poniża i jej postępki opóźnia? Wszakże bez dobrze dowiedzionej i jasnej teoryi, nie będzie prawdziwej nauki, bez nauki nie będzie nigdy sztuki lekarskiej. Dlatego lepsze i swobodniejsze umysły wynosiły się statecznie nad nikczemne to uprzedzenie i włożonego przez słabe głowy na naukę jarzma dźwigać nie chciały. Należy zatem pracować nad teoryą sztuki lekarskiej, ale razem dla uniknięcia błędów, w które poprzednicy nasi wpadali, należy pracować sposobem filozoficznym".

Przystępując do pracy, autor podzielił ją na rozdziały, w każdym zajmując się kwestyą konsekwentnie następującą po treści rozdziału poprzedniego. Część pierwsza zawarta właśnie w tomie I otrzymała ogólny tytuł: Część pierwsza zawierająca najogólniejszy wykład organizacyi życia.

I rzecz zaczyna w ten sposób: „Wszystkie ciała ożywione, są częścią stworzonego świata i jako część do całości swojej należą. Wszystkie pod uwagę naszą podpaść mogące przywiązane są do kuli ziemskiej, jako wchodzące do ogólnego jej układu; a zatem, tem samem związane są ze wszystkiemi innemi ciałami ziemskiemi, które na ich stan i bytność wpływać muszą. A tak, nie mogąc się z tych związków wydobyć,

muszą najprzód wszystkim prawom fizycznym, ciałom ziemskim w powszechności służącym ulegać".

Ale nie wszystko co na ziemi istnieje, działa lub wpływa na istoty żyjące; są jednak ciała, do których wpływu życie koniecznie jest przywiązane. Temi ciałami są: *powietrze, woda, ciepło, światło i pokarmy* i one to posiadają „*władzę odżywiającą*" w rozmaity sposób na organizmy działającą. Materya odżywiająca stanowi więc część życia jestestw uorganizowanych, atoli nie jest to zupełnem życiem, ponieważ zwierzę lub roślina raz życia pozbawione pod żadnym względem pod wpływem władzy odżywiającej nie ożyje. Materya odżywiająca utrzymuje życie, jednak tylko wtedy, kiedy związek między nią a jestestwem jest nienaruszony.

„A tak, skoro odżywiające istoty utrzymują tylko życie, które wprzód być rozpoczęte i trwać samo dla własnego zachowania ciągle powinno; cóż tedy jest, co takowe życie nadaje i rozpoczyna?"

A więc przedewszystkiem jest to pewna właściwa organizacya istoty żyjącej, stateczna, nieodmienna, od wieków trwająca, tak że możemy to nazwać własnością jestestw, odróżniającą je na rodzaje i gatunki, zależnie od zmian i różnic. Własność organizowania się nie jest materyi oddaną do dyspozycyi, materya nadać jej sobie sama nie może, przeto „musiała kiedyś pierwiastkowo być wywarta na materyą pewna władza czyli siła, która ją najpierwej w kształt organiczny ułożyła i tym sposobem rozpoczęła w niej życie". Więc wszystkie organiczne jestestwa musiały być pierwiastkowo stworzone, otrzymały władzę życia, to znaczy, otrzymały organizm o pewnych danych prawidłach; na który dopiero, jak wyżej przytoczono, może działać władza odżywiająca i utrzymywać tak długo, jak długo organizm odpowiada prawom pierwiastkowym.

Ta siła pierwiastkowo tworząca organizm i istniejąca do dzisiaj, nazwaną została przez autora *siłą organiczną*. Wytłumaczyć sobie pierwiastków siły organicznej rozum ludzki żadną miarą nie może, jednakże jej skutki widzi, może badać i oceniać, a to jest przedmiotem i celem nauk.

Prawa i skutki siły organicznej mogą być powszechne, wszystkim jestestwom organizowanym i żyjącym bez wyjątku służące, następnie ogólne, niektórym rodzajom lub gatunkom

właściwe, nakoniec szczególne. Drugie i ostatnie powinny być z pierwszemi zgodne i w nich się zamykać.

Siła organiczna raz wzniecona w materyi trwa od początku i w skutkach swych okazuje, że jest niezmienną i trwałą. Ale codzienne doświadczenie nas uczy, iż żyjące indywidua przeciwnego doznają losu t. j. giną mimo istnienia w nich siły organicznej. Ten fakt spowodowuje, że trzeba rozróżnić siły organiczne na *siłę powszechną*, *siłę gatunkową* i wreszcie *indywidualną*. Kiedy ma powstać indywiduum, wtedy siła organiczna rozpoczęcie nowego życia choć momentem uprzedzić musi. Ile razy jestestwa żyjące materyą otaczającą, nieorganiczną przyjmują i w siebie same zamieniają, tyle razy właściwa im siła indywidualna działać na tę materyę musi. Kiedy jedne organiczne jestestwa drugiemi się karmią, wtedy siłę indywidualną pożartego jestestwa muszą zamienić na własną. Te trzy wypadki to są objawy siły indywidualnej, pierwszy nazwać można jako *poczęcie*, drugi i trzeci jako *przyswojenie*. Wszystkie te czynności razem wzięte są *czynnościami organicznemi*.

Z przebiegu dotychczasowych rozumowań doszliśmy do dwóch cech stanowiących życie. Są to: a) czynności organiczne, b) władza odżywiająca.

Z kolei następuje pytanie: dlaczego w każdem żyjącem jestestwie, życie choć na najkrótszy czas wygasłe zwrócić się i ożyć nie może. Autor w ten sposób to przedstawia: „W indywiduach żyjących siła organiczna musi się zawsze wywierać, a każdy wypadek jej czynności jest dążeniem do nadania materyi siły organicznej; więc wszystkie ożywione jestestwa żyjąc organizują się bezprzestannie, czyli, całe życie jest ciągłem i nigdy nieustającym procesem organicznym, albo nigdy nie ustającem *przyswajaniem*. Najważniejsza to prawda do jakiej w nauce życia przyjść było można, a która nauki naszej teraźniejszej całą będzie zasadą".

„Życie zatem indywiduów organizowanych w powszechności przywiązane jest do następujących warunków: a) W każdem jestestwie ożywionem siła indywidualna, wywierać się zawsze i bez przerwy powinna; b) każde zostawać powinno w bezprzestannym z ciałami zewnętrznemi związku. Usunięcie któregokolwiek z tych warunków, mogącego się rozpocząć życia nie dopuszcza, już rozpoczęte kończy".

A że samej siły organicznej nie można dostatecznie poznać, nie można żadną miarą na nią wpływać, możemy jedynie drogą pośrednią przez władze odżywiające działać na indywidua, lub obserwować w rozlicznych wypadkach, jak i w jakich warunkach władze odżywiające na organizmy wpływają i to pole doświadczeń i badań jest szczegółowym tematem dzieła Śniadeckiego.

Pierwszorzędną wartość dla jestestw przedstawiają pokarmy, zamieniające się mocą siły organicznej w materyą organizowaną. Zwierzęta odżywiają się wzajemnie innemi jestestwami albo ich zwłokami, rośliny powietrzem i wodą, chociaż i te twory służą pospołu zwierzętom za pożywienie. Jeżeli zaś bliżej poznamy wartość pożywienia, dojść musimy do wniosku, że w innej formie, ale rośliny i zwierzęta spożywają jeden i ten sam pokarm. Ten pokarm jest rozmaicie na ziemi rozmieszczony, skutkiem tego można odróżnić *ciała odżywne* obok ciał z których istota żyjąca nie ma wcale pożytku, t. j. ciała nieodżywne.

Czemże jest właściwie ciało odżywne, skoro roślinom i zwierzętom służy? Na to odpowiada chemia, ucząc, że każde ciało odżywne jest produktem albo powstaje z rozpadu jakiegoś organizmu i wreszcie da się rozłożyć na pierwiastki identyczne z pierwiastkami istot żyjących, a te są: *węgiel, wodór, tlen,* właściwe i roślinom i zwierzętom i *azot* właściwy tylko zwierzętom. Do tego możnaby dołączyć w mniejszej ilości znajdujący się fosfor i siarkę, a znajdywanie się tychże w pokładach ziemnych przypisuje autor temu, że w kopalniach tych złożyły się w swoim czasie całe masy istot organicznych. Podobnie też jak w tym wypadku, dzieje się w wielu bardzo, tak, iż ziemską skorupę uważać można za łożysko, w którem leżą wszystkie martwe twory organiczne, nadto ziemia pochłania w siebie tlen z powietrza, przez co wytwarza ustawicznie kwas węglowy. Różnica jaka zachodzi w odżywianiu się roślin i zwierząt jest ta, że rośliny karmią się rozłożonemi ciałami odżywnemi t. j. pierwiastkami, zwierzęta zaś ciałami złożonemi.

Z tego wszystkiego wypada, że materya odżywna nie ma żadnej, organizowania się sama przez się, władzy; że jestestwa żyją z powodu ulegania lub zamierania innych i tylko tam żyć mogą, gdzie są istoty żyjące, albo gdzie były, n. p.

w pustyniach i stepach żyć może tylko bardzo nieznaczna ilość zwierząt, znajdujących się tam jedynie dlatego, że napotykały na ciała odżywne szczególnie dla nich przydatne; wreszcie można powiedzieć, że ciała odżywne przechodząc ustawicznie przez organizmy, niemal żyją, spoczywają czas krótki, lecz rychło znowu spożyte przez zwierzęta ulegają organizacyi i z tego tworzy się cały łańcuch życia w rozlicznych formach i postaciach.

Jak wyżej wspomnieliśmy doszedł autor do wniosku, że życie to stosunek między siłą organiczną a materyą odżywną. Obecnie w dalszym ciągu nazwawszy odżywnością materyi, materyę odżywną stosowną i odpowiednią do zasilenia np. zwierząt, a więc nie spoczywającą w łonie ziemi lub nierozłożoną na pierwiastki, twierdzi, że „życie jest wypadkiem wzajemnego działania materyi odżywnej nie ożywionej lub nieorganizowanej, na tęż materyę ożywioną i organizowaną,“ powtóre „każde jestestwo żyjące organizuje się bezprzestannie, a życie na odżywianiu i ciągłem odżywiającej materyi organizowaniu zależy“.

„I ponieważ prawa natury są nieodzowne, żadnego nie cierpiące wyjątku, ponieważ takie jest każdemu żyjącemu stworzeniu przepisane prawo, iż skończyć się w tym momencie musi, skoro organizować i przyswajać sobie odżywną materyę przestanie, więc wszystkie czynności, starania, usiłowania, myśli, słowem cały kierunek każdego żyjącego stworzenia, do tego jedynie zmierzają celu, żeby sobie jak najwięcej odżywnej materyi przysposabiać, ażeby sobie użycie jej zapewnić“.

„Ten to jest ostateczny zamiar, ta prawdziwa przyczyna wszystkich starań i zabiegów człowieka, bo prawdziwe źródło jego przemysłu, który rośnie lub upada w miarę jego potrzeb, ten powód jego chciwości, zazdrości, ambicyi, chęci celowania nad innych, jednem słowem wszystkich jego namiętności i poruszeń“.

Piękne dla człowieka świadectwo, nieprawdaż, lecz jak głęboko rozważone, jak mimowoli każdy myślący człowiek w sobie i innych musi dopatrywać się tej prawdy i powiedzieć: tak jest, człowiek całe życie jest głodny czy zmysłami, czy sercem, czy umysłem i dąży ustawicznie do nasycenia swego „ja“.

Materya odżywna posiada rozmaitą wartość zależną od

różnych czynników, może zyskać albo też stracić na wartości. Szczególnie traci ona na wartości, gdy działa na nią siła organiczna, to znaczy, gdy materya odżywna zamienia się w ciało żyjące i nabywa siły indywidualnej. Następstwem tego jest to, że gdyby indywiduum nie odżywiało się ustawicznie, materya odżywna po zamienieniu się w organizm straciłaby tak doszczętnie siłę odżywną, że indywiduum musiałoby zginąć.

Prócz tego materya odżywna, a właściwie materya, która przestała już być odżywną, zostaje drogą odchodów wydaloną z organizmu, mając zatem wzgląd na to „iż jedne pierwiastki odżywne bezprzestannie jestestwom organicznym przybywają, kiedy drugie podobnie w tym samym stosunku z nich odchodzą i uważając, że odżywność jest własnością niektórych pierwiastków, mocą której do organizowania się i przywłaszczenia sobie siły organicznej dążą, wypada: iż materya odżywna bezprzestannie przez jestestwa ożywione krąży, iż te oddają ją sobie nawzajem, jedne drugim, a zatem, że każde indywiduum uważane być może za środek takowego ruchu, którego natura i postać od odżywności i siły indywidualnej zależy".

Stąd wynika, że każdy odchód z istoty żyjącej posiada pewne zdatne do odżywiania własności. A to znowu pochodzi stąd, że zawiera on części właściwe organizowanym istotom i to części zużyte, jak w roślinach wodę, tlen i kwas węglowy, w zwierzętach ciała azotowe, fosforany i t. d. I ta właśnie proporcya między materyą odżywną a materyą odchodzącą stanowi właśnie indywidualizm pewnego zwierzęcia lub rośliny.

Te pewne względy spowodowały Śniadeckiego do przypuszczenia, że „odżywiać, jest to razem dezorganizować (odchody są tą dezorganizacyą, zabierają bowiem wiele z organizmu pierwiastków) i że ciała odżywiające zewnętrzne nieinaczej nas odżywiają, jak tylko dążąc do rozrabiania nas i psucia".

Dlatego można powiedzieć, że istnieje ustawiczna walka w organizmie między władzą odżywiającą a siłą organizującą. Efektem tej walki bywa raz to, że istota żyjąca żyje, o czem już mówiliśmy, ale innym razem zdarzyć się może, że materya odżywna stawia opór sile indywidualnej.

I to w takich wypadkach: a) Wszystkie siły fizyczne nadające pierwiastkom ożywionym inne dążenie i inny kieru-

nek, zatem attrakcya, mocą której wszystkie cząstki materyi do zetknięcia nawzajem dążą. Bo ponieważ siła ta całą materyą zgromadza, krystalizuje, może częstokroć takowem usiłowaniem siłom organizującym opór czynić; b) powinowactwa, mocą których cząstki ciał różnorodnych dążą do kombinowania się pomiędzy sobą i formowania tym sposobem ciał nowych odmiennego kształtu i odmiennych własności; c) same siły organiczne opierać się nowym władzom muszą. Każdy albowiem gatunek jestestw ożywionych, mając oddzielną i właściwą sobie siłę organiczną, jeżeli drugiemu rodzajowi lub gatunkowi za pokarm ma służyć, musi wprzód pierwsze swoje życie i swoją postać stracić, a tem samem nowa władza, organiczną dawniejszą pokonać i całe jej dzieło przerobić powinna.

Bardzo wybitną, obficie w przyrodzie pojawiającą się cechą jest *powinowactwo*. Jest to siła owa przyrodzona, mocą której ciała różnej natury dążą do kombinowania się nawzajem ze sobą i za pomocą której połączone, zamieniają się w ciało całkiem nowe, do składających pierwiastków niepodobne. Powinowactwem zajmuje się przeważnie nauka chemii. Ze stanowiska ogólnego możnaby powiedzieć, że ciała dopiero wtedy uledz mogą powinowactwu, kiedy wszystkie siły dane ciało utrzymujące ulegną spoczynkowi. Siły te wówczas nazywać trzeba siłami nieczynnemi czyli spoczynkami, siła tedy sprawiająca powinowactwo działa w stosunku odwrotnym do sił spoczynkowych.

Powinowactwo stoi w prostym stosunku do ciepła, ze względu zaś na organizmy, które bezprzestannie ulegają powinowactwom różnych ciał przez różne siły, ciepło do życia i wzrostu istot organicznych jest nieuchronnie potrzebne.

„Z drugiej strony, ile cieplik spoczynkowym siłom jest przeciwny, tyle czynnym czyli mającym się okazać sprzyja. Ile zatem pomocny jest sile organicznej w rozrabianiu związków chemicznych i przyswajaniu materyi odżywnej, tyle w materyi organizowanej mogące się okazać kombinacye chemiczne wspiera i utrzymuje. I w tem położona jest druga przyczyna, dla której ciepło nieuchronnie jest do życia potrzebne. Bo ponieważ materya ta, która już siły indywidualnej doświadczyła, a zatem całkiem, lub po większej części przestała być odżywną, z pod władzy siły organicznej wychodzi“, rozumie się

w odchodach i wchodzi pod władzę wzajemnego chemicznego powinowactwa, ulegając wreszcie siłom spoczynkowym.

„Należy zatem w każdem żyjącem jestestwie dwa nigdy nie ustające procesa przypuścić, jeden organiczny, drugi chemiczny".

Autor o tem wspomniawszy, dochodzi do wniosku, że procesa organiczne posiadają pewne prawa bardzo bliskie i podobne do procesów chemicznych, widzi związki organiczne dające się jako osobne ciała o stałym składzie od organizmów oddzielić. Wysnuwa nawet uwagę, że „uważając tedy ciała naturalne złożone, co do ich składu, mamy oczywiście dwa jego gatunki, to jest skład chemiczny i organiczny. A zatem chemia organiczna, jako na innym oparta początku, powinna osobną całkiem od chemii ogólnej stanowić naukę".

Po tej uwadze powraca autor do kwestyi ciepła, twierdząc: „że im w jakimś rodzaju, gatunku, lub indywiduum mniejsza jest siły organicznej na powinowactwa władza, tem takowy rodzaj, gatunek lub indywiduum, większego ciepła do utrzymania życia wymagać będzie i przeciwnie". Tem tłumaczy się tak różny stopień temperatury u zwierząt. Ale z tego odrazu wysnuć można, że większy stopień ciepłoty sprzyja nie organizowaniu się, lecz raczej rozpadowi i obfitszym odchodom, a kiedy ciepłota z powodu rozmaitych przyczyn podniesie się bardzo wysoko, powinowactwa chemiczne zawładną organizmem zupełnie, w następstwie tego organizm żyć przestanie. „Lecz jeżeli zbytek ciepła w pewnych zamknięty obrębach, do najwyższego się stopnia nie posunie, a tymczasem i odżywna materya w stosunku jego powiększenia przybywać będzie, (t. j. tworząc coraz wyższe i przydatniejsze dla organizmu związki) naówczas wszystkie procesa organiczne i chemiczne, a zatem życie w ogólności pomnażać się w proporcyi takich przybytków muszą".

Skoro organizm nie żyje, wszystkie siły organiczne gasną, a więc pojawić się muszą wyłącznie procesa chemiczne i to nazywa się fermentacyą. Do tego niezbędne jest ciepło, woda i powietrze, bez tego fermentacya, mająca również swe prawa, odbywać się nie może. W takich razach ciało pasmem nawet wieków trwać może nienaruszone. Takich ciał organicznych ziemia nasza posiada olbrzymie składy i to powierzchowna warstwa ziemi zawiera ich tak wiele, że niemal z nich

się składa, powtóre morze oblewając większą część ziemi, nieokreślone mnóstwo istot organicznych w sobie mieści. Prócz tego przydać należy nagłe i ogromne rewolucye, którym ziemia nasza po kilkakroć, jak się zdaje, ulegała. Do takich rewolucyi liczyć należy nagłe i obszerne potopy, gwałtowne trzęsienia ziemi, gwałtowne poruszenia atmosfery, przez które częstokroć całe lasy pokładane bywają. Takowe składy organiczne (istot przez powinowactwa chemiczne nie rozłożonych na pierwiastki) bądź na dnie morskiem osiadające, bądź przez gwałtowne wzburzenia ziemi w jej przeniesione wnętrzności, znajdują się w niepodobieństwie, doświadczenia dobrowolnego rozkładu". Do nich tedy dostępną jest tylko woda, która rozpuszcza i rozmiękcza wiele części, nie naruszając olejów, żywic, siarki i tłustości. To daje początek węglowi ziemnemu i tłuszczom ziemnym. Pokładom tym towarzyszy zawsze siarka i ta rozkładając wodę, odbiera jej tlen wytwarzając ciepło. Cały szereg takich i podobnych stosunków chemicznych przez ciepło zagrzewa otoczenie. To ogrzanie się pokładów może dojść do najwyższego stopnia, nawet do zapalenia się. Wtedy z wód powstają pary wywierające dokoła wielką prężność. Jeżeli para ta znajdzie swobodne ujście, wychodzi nie przebierając miary prężności, w przeciwnym razie siłą wydobyć się usiłuje, powodując trzęsienia ziemi, albo wybuchy wulkaniczne. Trzęsienia ziemi, to energiczne usiłowanie pary wodnej do wydostania się na powierzchnię ziemi, jest zawsze torowaniem sobie drogi, a więc trzęsienia ziemi są ściśle z wulkanami związane. Gdy wulkan już się uformował, wychodzi część pary, lecz że następne zamknięte i prężące pary za poprzednią usiłują się wydostać i w kierunku otworu znajdują opór najmniejszy, w tym kierunku wyrzucają masy zwane lawą.

Takich procesów w głębi ziemi odbywa się ustawicznie bardzo wiele, to też istnieje wiele wulkanów, częścią gasnących i nowo powstających, częścią ustawicznie czynnych.

Wulkany oprócz pary wodnej wyrzucają na powierzchnię ziemi i inne rozłożone ciała, jako to kwas węglowy, kwasy inne i gazy i tak „zagrzebanej owej odżywnej materyi pierwiastki, powracają na powierzchnię ziemi, gdzie w nowe istoty organiczne przechodzić i życie na nowo rozpoczynać mogą. Tym sposobem niezmierne odżywnej materyi zbiory, którym natura długie przeznaczywszy w wnętrznościach ziemi mie-

szkanie, sposobność do organizowania się i życia odjąć się zdawała na zawsze, zyskują nową do życia okazyę, a narzędziem, którego natura do tak wielkiego używa zamiaru, są wulkany.

W dalszym ciągu zastanawia się Śniadecki nad różnicą praw między między roślinami, a zwierzętami. U roślin stosunki są podobne, jednak znacznie prostsze. U nich istnieje tylko ta kwestya, że: „każda odżywna materya w istoty roślinne wchodząca wprowadza w nie dwie siły t. j. odżywność i powinowactwa". A więc istnieje tu czynność i przeciwczynność (wspomnieliśmy, że powinowactwa są przeszkodą do wytwarzania się organizmu, nazwać więc to można przeciwczynnością). Do tego celu służy roślinie ciepło i światło, jako niemal nigdy nie rozdzielająca się para objawów przyrody. Rośliny karmią się wodą i kwasem węglowym, przyswajają sobie węgiel, a tlen oddają powietrzu napowrót. Życie więc roślin polega przedewszystkiem na sprawach chemicznych, tymczasem zwierzęce na organicznych, „dlatego przyjąć należy, iż w zwierzętach prędkość i łatwość zamiany materyi organicznej, jest w stosunku prostym jej przybliżenia się do formy, w którą ma się zamienić. To znaczy, że im związek organiczny jestestw, których używamy za pokarm, podobniejszy jest do naszego, tem go prędzej strawić, w krew zamienić i przyswoić będziemy mogli".

„A że życie fizyczne indywidualne zawisło od ciągłego organizowania nowo przybywającej i proporcyonalnego rozrobienia swojej własnej materyi, a zatem w stosunku prostym być musi; więc bieg życia zwierzęcego prędszy daleko będzie w jestestwach mięsem, aniżeli roślinami karmiących się".

Tymczasem po omówieniu kwestyi działania materyi odżywnej na organizm, po dokładniejszem omówieniu sprawy ciepłoty roślin i zwierząt, przystępuje autor do wytłumaczenia, co to są trucizny, które zwierzę zjada pod pozorem zjadania dodatniej karmy.

A więc „ponieważ w przyswajaniu organicznych materyi zwierzęta poprzednicze związki odmienić i przeistoczyć powinny, zatem, zdarzyć się może, iż związek bądź chemiczny, bądź organiczny, przyjęty wewnątrz istoty tak mocnym będzie, że siły przyswajające na przerobienie jego nie wystarczą. Naówczas ciało takowe przyswoić się nie pozwoli; a wsze-

lako część siły organicznej zwracając na siebie, procesa inne organiczne osłabić musi, przez co ciało takowe, szkodliwe dla ekonomii zwierzęcej być powinno". To są trucizny.

Z tego wynika, że im siła indywidualna będzie dzielniejszą, tem łatwiej pokona oporne związki chemiczne lub organiczne. To pokonanie dzieje się kosztem sił organicznych, albowiem organizm wysila się na przyswojenie sobie tej trującej materyi, jeżeli nie zdoła jej wydalić ze siebie. Trucizna naodwrót w walce z siłami organicznemi rozradza się, jeżeli przeto opór siły indywidualnej będzie słaby, materya trująca natężając swą czynność tworzenia sobie właściwych powinowactw coraz więcej, nakoniec całą siłę indywidualną zagładzi i całą machinę zwierzęcą rozwiąże. Taka jest czynność wszystkich jadów zwierzęcych, którym nadano nazwisko *zarazy*.

Dalej zajmuje się Śniadecki sprawą odradzania się jestestw organicznych. „Odmienianie się materyi odżywnej w organizowanych indywiduach nazwać możemy odnową; odmianę indywiduów w rodzajach i gatunkach odrodzeniem". „Potrzeba obydwóch wypada z samej natury siły organicznej, która wywierać się i być czynną bezprzestannie powinna. Więc z samej natury siły organicznej wypadła konieczność indywiduów, ich upadku i odradzania się, gdyż tym tylko jednym sposobem życie wzbudzone i utrzymane w materyi być może. Słowem, byt powszechny całego stworzenia przywiązanym będąc do odradzania się, jest razem przywiązany i do upadku indywiduów i do tego zawsze dążyć musi celu; więc interes indywidualny jest interesowi powszechnemu w tej mierze przeciwny; zatem żeby trwałość organicznych jestestw przez odradzanie się indywiduów zapewnić i indywidua do tego pociągnąć, należało koniecznie przywiązać je do rodzaju i gatunku i życie ich, że tak rzekę, rozdwoić. Natura uczyniła temu wielkiemu zamiarowi zadosyć przez uformowanie płci i nadanie tym sposobem każdemu stworzeniu dwojakiej bytności, to jest indywidualnej i gatunkowej".

Każdy gatunek posiada praojca od którego pochodzi, podobnie jak pień drzewa zasadzony w ziemię wypuszcza pędy, liście, kwiaty, z tego powstaje nowa latorośl, bardzo często przeniesiona w inne, oddalone strony, a przecież tak bezwzględnie podobna do pnia rodzinnego.

Indywiduum zrodzone ma swój wzrost, dojrzewanie, schy-

łek i upadek. To samo powiedzieć można o ożywionych częściach całej naszej ziemi, tak, że całość ta da się porównać z życiem gatunków, a życie gatunków z życiem osobnika. Co się dzieje w ogromnej tego świata machinie, to samo, tym samym porządkiem i podług tychże samych praw odbywa się i w każdej pojedyńczej budowie. W tym ogólnym i nieustannym obrocie istot organicznych na materyę odżywną, z tejże materyi znowu na organizmy, bytność istot zależy zawsze od bytności poprzedników. „Tak, że gdyby jestestwa organiczne całkiem zniszczone być mogły i rozpoczynać się na nowo miały, toby musiały się koniecznie rozpocząć od najpierwszych tego wielkiego szeregu członków, po uformowaniu których następowałyby tuż po nich powstające“. I tak każdy gatunek związany jest w nieprzerwanym rozwojowym związku z protoplastami i tworzy zupełnie podobnych do siebie potomków, a gdy kiedykolwiek zdarzy się wyrodek tak zw. potwór, to wydać może potomstwo marniejące wkrótce, albo co się zdarza najczęściej, sam wyrodek ginie nie mogąc zostawić potomstwa. Takie to są odwieczne prawa wyjątków nie znające.

Więc tak samo, jak cała przyroda, „każda roślina, zwierz każdy, człowiek, rozpoczynają się w szczupłej bardzo materyi cząstce, w jednym niemal atomie, w jednej kropli płynu, w której raz rozpoczęty bieg życia idzie swoim porządkiem, coraz dalej wyrabiając, rozpoczynając i rozwijając coraz nowe soki i narzędzia, dopóki nareszcie do ostatniego kresu doskonałości, wzrostu swego nie dojdzie“.

W przebiegu życia każda czynność organiczna usługuje innej, każdy postępek organizacyi ulegać może rozmaitym zmianom odpowiednio do stosunków otaczającego świata.

Życie po okresie największego rozkwitu, nie mogąc trwać wiecznie, upada, słabnie, wreszcie zanika; to Śniadecki tłumaczy tem, że jak w początkach i wzroście życia, ciągle górują siły organiczne i całemu życiu dają kierunek, tak w drugiej połowie zwolna słabieją, a tym sposobem dają coraz łatwiejszy przystęp powinowactwom, wreszcie śmierć jest ustaniem pracy organicznej, a rozpoczęciem procesów wyłącznie chemicznych.

Kończąc część ogólną „Teoryi jestestw organicznych“ stawia sobie autor pytanie: co to są funkcye istot ożywionych? Pytanie to zastanowić musi każdego przyrodnika lekarza, tej

więc kwestyi poświęcono w literaturze świata olbrzymią ilość prac i dzieł. Śniadecki tak odpowiada: „Stan siły organicznej obejmujący różnicę rodzajową lub gatunkową, oznacza zarazem postać objawień temu rodzajowi lub gatunkowi właściwych. Podobnie w danem ożywionem jestestwie, stan ów, albo konstytucya organiczna w jakiejkolwiek części, która postać i rodzaj jej objawień (objawów) oznacza, nazywa się funkcyą tej części; samo objawienie, czyli wykonanie, że tak rzekę, tej funkcyi czynnością. Więc rodzaj organizacyi oznacza rodzaj funkcyi". „Każde zatem objawienie życia, czyli wykonanie funkcyi jakiegokolwiek organu będzie wypadkiem wspólnego przyłożenia się sił organicznych i władz pobudzających".

Co to są władze pobudzające, tłumaczy autor w rozdziale zatytułowanym: Rozbiór władz zewnętrznych na gospodarstwo zwierzęce działać mogących. Ustanowienie ich stosunku i równowagi. — Otóż cokolwiek dostanie się w obręb organizmu nie może być dla niego nigdy obojętne, ponieważ siła organiczna działa na każdą materyę w obrębie jej czynności znajdującą się. Materya odżywna, trucizny, materye nieodżywne; przygotowane i zastosowane do potrzeb zwierzęcia, lub materye takie, które zwierzę samo przerabiać na odżywne musi, słowem wszystko, wywołuje przez inne istoty spostrzegane, albo nie dające się spostrzegać objawy, mające bezsprzecznie swe przyczyny. Przyczyny te, mogące być rozliczne nazywa autor władzą pobudzającą.

Zastanawiając się w dalszym ciągu nad fenomenami (objawami) życia, twierdzi, że w przyrodzie zwierzęcej wyróżnia się przedewszystkiem funkcya ruchu i czucia, i polemizuje z dawnemi zapatrywaniami, jakoby mięśnie i nerwy miały inne siły pobudzające, bo wypaść by stąd musiało, że każdy organ miałby tak samo inną odmienną władzę pobudzającą. Sprawę tę lepiej określić w ten sposób, iż czynności organów zależą od wielu systematów i praw ze sobą w zgodnym porządku związanych, „systemata te wiążą się razem w jedno i przygotowują odżywną materyę jedne drugim, stanowią jeden nierozerwalny łańcuch".

Dzieło kończy się krótkim obrazem i zrekapitulowaniem wszystkich rozdziałów i uwagami nad teoryą Browna, a to dlatego, że ona pierwsza zwróciła uwagę Śniadeckiego na do-

niosły wpływ i ważność ogólnego określenia i objaśnienia życia, jako faktu dotyczącego całej kuli ziemskiej.

„Pierwszym początkiem, czyli zasadą tej nauki jest to, iż wszystkie żyjące jestestwa posiadają pewną własność, przez którą różnią się od samych siebie po śmierci i od każdej innej martwej materyi w ten sposób, iż rzeczy otaczające zewnętrzne i pewne im właściwe funkcye tak działają na nie, że sprawują fenomena ich życiu właściwe, czyli tak zwane funkcye. Takowe zewnętrzne władze są: ciepło, pokarmy i napoje, krew, oddzielone z niej soki i powietrze“. Ciała żyjące są pobudzalne, władze zaś na nie działające, są to władze pobudzające, a zaś skutek tejże nazywa się pobudzeniem. Ponieważ przeto wszystko na organizm działa, życie zupełnie i jedynie zawisło od pobudek. Pobudzalność i pobudzenie, tak się mają względem siebie, że im słabiej pobudki działały, tem jest pobudliwość obfitsza, im mocniej tem słabsza. Pobudzenie jest największe, kiedy moc obydwóch jest średnia.

Gdy zbyt wiele pobudek działa na organizm, pobudzalność osłabia się i następuje choroba nazwana niewłaściwą. Choroba właściwa powstaje z niedostatku pobudek. Teoryę tę krytykuje człowiek, który z jej strony doznał za swych lat uniwersyteckich pobudki i od niej zacząwszy, począł zagłębiać się w zagadnienia o tajnikach i porządku przyrody. Czytelnik z przytoczonych kilku zdań o teoryi Browna, bynajmniej nie zrozumie, że teorya ta liczyła setki zwolenników między lekarzami, którzy stosowaniem rozmaitych pobudek, nieraz i to wiele razy pozbawili pacyenta pobudliwości zupełnie, dając mu odprawę w świat lepszy. Czytelnik nie zrozumie, że ta teorya mogła wielu zupełnie przekonać, i jak to się działo, porwać, zniewolić do siebie, lecz jeżeli Śniadecki krytykuje teoryą, o której ongi w Pawii z młodzieńczym walczył zapałem, znać, że nigdy nie szedł na oślep i że chorych od skutków tej teoryi ochraniać umiał.

Tak pierwszym zarzutem Śniadeckiego jest, iż punkt wyjścia jest fantazyjny, niczem nieudowodniony, powtóre, że sprawę czucia, ruchu, czynności tłumaczy w sposób doktrynerski. „Wszakże wylicza władze pobudzające, pomiędzy którymi kładzie same fenomena życia, a zatem te same fenomena są razem u niego skutkami“. „Wszakże na samym początku ostrzega, że życie roślin podobne jest do życia zwierzęcego,

a tem samem spodziewać się nam każe, że nauka jego, wszędzie równie do roślin jako i zwierząt da się zastosować. Tłumacząc jednakże skutki władz pobudzających powiada, iż są: czucie, poruszenie, funkcye umysłowe i poruszenia umysłu czyli pasye, w tym razie oczywiście zapomniał o roślinach".

Drugi warunek, na którym Brown naukę swą buduje, „iż skutek wszystkich władz pobudzających na odżywność będąc ten sam, i sposób ich działania ten sam być musi"...

To również nie znajduje u Śniadeckiego wytłumaczenia, albowiem pocóżby natura zawsze oszczędna i prosta, namnożyła tyle pobudek, gdyby ich wartość była identyczna, albo bardzo do siebie zbliżona.

Atoli i pochwałę należną oddaje swemu naukowemu cicerone: „Jest to niemal pierwsza teorya lekarska, w której przedsięwzięto naukę do ogólnych i jasnych przywieść porządków, w której miano wzgląd na życie w powszechności, starano się odkryć jego prawa i te do wytłumaczenia tak zdrowego jako i chorowitego stanu człowieka zastosować. Wywracając nawet tę naukę, nie można nie widzieć wielkiego umysłu jej twórcy. Upowszechniać albowiem rzeczy i umiejętność do prostych i ogólnych przywodzić początków jest zawsze charakterem obszernego i twórczego umysłu... Poważam zatem geniusz Browna, ale idę za prawdą. Szczęśliwy, jeżelim się choć o krok dalej do jej świątyni przybliżył".

W tej części pierwszej zawarł Śniadecki wszystkie swe zapatrywania. Ale w roku 1811 wydał część drugą, w której teoryi już niema, tylko człowiek ze wszystkiemi swemi cechami jest przedmiotem jego uwagi. Gdy część pierwsza była filozoficznem dociekaniem, część druga jest typową fizyologią, objawy bowiem tak człowieka w ogólności, jak kolejno wszystkich jego narządów mają swe rozdziały. Książka ta, jakkolwiek wysoką posiada wartość, nie będzie już przedmiotem naszej uwagi, dlatego, że jest ona wiernym obrazem teoryi w pierwszej części zawartej, obrazem zastosowanym jedynie do człowieka w szczególności. Ciekawem jest jednak zdanie o wartości człowieka w przyrodzie. Oto: „Przypatrując się człowiekowi w stanie dzikim, a zatem takiemu, jaki wyszedł z łona samego przyrodzenia, czemże go potrafimy rozróżnić od otaczających nas zwierząt? Oto chyba zewnętrznemi oznakami. Ten człowiek tak, że tego użyję wyrazu, surowy, bar-

4812

dzo jest podobny do zwierząt i bliski rodzajowi małp bezogonnych". Różnica między zwierzętami a człowiekiem jest następująca: „A jako zwierzęta w ogólności najwięcej się różnią od roślin nerwami, tak człowiek najistotniej jest wywyższony nad inne doskonałością i obszernością tego systematu. Jakoż tym najszlachetniejszym organem, wielkością mózgu i obszernością czaszki, nie tylko ludzie w powierzchowności celują *nad inne zwierzęta*, ale celują i jedni nad drugich".

Skoro poznaliśmy kilka teoryi ogólnikowo nakreślonych, a istniejących przed pojawieniem się teoryi Śniadeckiego, skoro zaznaczyliśmy zasadnicze pojęcia dzisiaj przyjętej mimo rozmaitych modyfikacyi teoryi Darwina, wypadałoby zastanowić się, jakie miejsce wyznaczyć by należało polskiemu uczonemu.

Zdaje się, że właśnie takie jakie z porządku wypada. Jest on poprzednikiem Darwina, lubo w pozorach tak się nie wydaje, lubo spotyka się zwroty bardzo odstające od dziś przyjętej teoryi. Te pozory lub zdania dały kilku krytykom teoryi Śniadeckiego pochop do wręcz przeciwnych sobie zdań i twierdzeń. Jedni utrzymywali, że Darwin jest ulepszonem wydaniem Śniadeckiego, inni, że Śniadecki zajął zupełnie inne stanowisko nie zgadzające się nawet z formującemi się już za jego czasów zapatrywaniami transformizmu czyli pochodzenia i dziedziczenia.

My zaś nie podejmujemy tu tej kwestyi, należy ona do zakresu specyalnej pracy o teoryi Śniadeckiego, w jednym jedynie kierunku zwrócimy naszą uwagę, mianowicie zapytamy, kto stoi najwyżej w swych teoryach ze stanowiska badań i doświadczeń. Przychylnej odpowiedzi na to nigdy Śniadeckiego teorya nie otrzyma, jej właśnie brakuje to, czem odznacza się genialny wywód Darwina.

I ze stanowiska dzisiejszych wymagań nauki poważny zarzut możnaby Śniadeckiemu uczynić, że jako chemik z zawodu zbyt mało zajmował się fizyologią i historyą zwierząt lub roślin, zbyt mało doświadczył i zadowalał się hipotezą nieraz tam, gdzie późniejsi badacze doświadczeniem sprawdzać mogli.

A więc z powodu tego, iż wiele razy rozumował prowadzony tylko intuicyą, iż drogą racyonalnego następstwa

rzeczy dochodził do swoich wniosków, nie sprawdzając tego, a przynajmniej nie usiłując sprawdzić tego na przykładzie, nie zrównał się z obecnymi poglądami, które być muszą dziś dla nas miarą krytyczną, nie osiągnął tych rezultatów, jakie jego bujny umysł mógł zdobyć, i stanął jak zaznaczyliśmy na stanowisku poprzednika teoryi najnowszych, wyniósł się nad innych przed nim piszących, ale nie dał nam tyle, by go można do ostatnich, do najnowszych zaliczyć.

To jednakowoż bynajmniej nie umniejsza wartości dzieła. Głęboki rozsądek przemawiający z kart jego, konsekwencya i logika, dążność do opierania się wyłącznie na faktach przyrody i to wybitna dążność zdobi i wynosi teoryę Śniadeckiego. W sto lat prawie po wydaniu dzieła, zajmując się nią, mamy wrażenie, że tak wiele prawdy tkwi w książce, jakby ona do dzisiejszych należała.

Mimo teoryi Darwina i wszystkich ewentualnie po niej następujących, w historyi nauki musi teorya Śniadeckiego wybitne zająć miejsce, gdyż autor lubo nie zawsze szczęśliwie, umiał myślą niepoślednio władać, umiał nią szersze widnokręgi opisywać, umiał być mądrym i umiarkowanym.

Następujące wytyczne zasady wybrać można z „teoryi jestestw organicznych".

a) Wszystkie jestestwa zostały stworzone i przekazały swym następcom wszystkie swe cechy gatunkowe bez zmiany.

b) Związek między osobnikiem a otaczającym światem jest ścisły; od zmian i warunków przyrody zawisł byt i powodzenie danego indywiduum.

c) Siła organiczna jako siła wrodzona jest podstawą życia i ona chroni indywiduum przed nieprawidłowym porządkiem i odmiennem ukształtowaniem się gatunków.

d) Jestestwa ginące stanowią materyą odżywną posiadającą siłę odżywną, stąd jedna siła wspiera drugą tworząc ustawiczną przemianę szeregu praw i wzajemną zawisłość istot.

e) Odpowiednio do warunków indywiduum może ulegać rozmaitym zmianom w ciągu życia.

f) Człowiek zarówno z innymi gatunkami został i podlega tem samem prawom co pozostałe jestestwa organiczne.

A gdy w tomie II teoryi szczegółowo zajmuje się człowiekiem przyjmuje wprost i zmiany w gatunku ludzkim i wysnuwa zresztą co do człowieka wszystko co Darwin później

powiedział, jakkolwiek czyni to intuicyą, samemu sobie nie zdając sprawy, że zbliżył się do pojęć, które dziś z taką świadomością rzeczy nazywamy słowami: „walka o byt“.

„Ponieważ pewna tylko część materyi, kulę ziemską składającej, żyć i organizować się może; a jestestwa żyjące jedne drugim za pastwę i pokarm służą; więc tem samem natura liczbę i rozmnażanie się żyjących jestestw pewnemi granicami określić chciała. Zaczem nie inaczej jedne żyjące jestestwa jak tylko przez upadek drugich powstawać; nie inaczej jedne zwierząt lub roślin gatunki mnożyć się i rozpościerać mogą, jak tylko inne rodzaje gnębiąc, uciskając i niszcząc. Człowiek zatem, który na całej powierzchni ziemi tak się rozpościera i mnoży, jest największym innych organicznych stworzeń pognębicielem i zabójcą. Lecz dla tychże samych przyczyn i samo zaludnienie musi mieć pewne swoje granice, które gdyby plemię nasze przestąpić kiedy mogło, samoby na siebie drapieżność swoję obrócić musiało. Spojrzyjmy teraz na mało zaludnione lub opuszczone od ludzi kraje; wszędzie nieprzebyte lasy, niezmierne roślin, ptactwa, owadu i zwierza dzikiego mnóstwo, powierzchnię ziemi okrywa. Niech je tylko raz człowiek odwiedzi; niechaj w nich osiadać i mnożyć się zacznie, zaraz wyniosły ten żyjącego przyrodzenia tyran, wszystko zwolna i nieznacznie niszczyć, wszystko w własne swoje plemię przeistaczać zacznie; tak, że z czasem wsie i obszerne miasta, ulubione niegdyś siedliska dzikiego zwierza i lasów, zastąpią. Naówczas ta sama materya, która niegdyś wchochodziła w skład i usługiwała życiu słabych tych stworzeń, przekształci się powoli w człowieka, lub jemu usługujące i pielęgnowane od niego istoty“.

Tak w wielu miejscach fizyologia człowieka dotyka zupełnie nowożytnych zagadnień. Stałość gatunkowych cech u roślin i zwierząt tak wybitnie przez Śniadeckiego zastrzeżona, w sprawie człowieka zmienia się; u człowieka istnieje zmienność i zdolność dziedziczenia, czem autor jest nam nie tylko bliższy, ale żyje już wespół z naszemi pojęciami. „Jaki jest stosunek i wzajemny na siebie wpływ rozmaitych organów, składających człowieka, taki sam i równie nieuchronnie potrzebny jest jego związek z resztą odżywnego stworzenia i ze światem fizycznym, tak mocny i oczywisty musi być wpływ na jego stan i byt jużto otaczających go istot organicznych,

już powietrza, ziemi, wód, zwyczajnej temperatury, lub jej odmian, tudzież tych wszystkich przyczyn, które na odmianę powietrza, wód, lub ziemi wpływać mogą".

Na innem miejscu: „Samo spojrzenie pokazuje nam wyraźnie różnice w niektórych gatunkach rodzaju ludzkiego, które różnice nie są i nie mogą być w żaden sposób dziełem sztuki, będąc w tem plemieniu powszechne i dziedziczne"...

Gdyśmy rozpatrzyli się w Śniadeckiego „Teoryi jestestw organicznych" gdy pojęliśmy, że rozum polskiego uczonego pod każdym względem przynosi nam chlubę i szczycić się nim możemy, gdy już to dzieło w historyi nauk poczesne miejsce zajęło, nie zdziwimy się, że nieznany poeta następujące rymy poświęcił ku czci książki i autora:

Mężu! dawnoć już rodacy
Wznieśli ołtarz w swojej duszy;
Ciesz się plonem mądrej pracy,
Tej pamiątki czas nie skruszy.
Cóż to wód przeleją rzeki!
Co przerzucą zdań nauki!
A prawd Twoich w późne wieki
Uczyć będą wnuków wnuki!
Codzień dawny system znika,
Codzień uczą nas nowego;
Trwa systemat Kopernika,
Trwa teorya Śniadeckiego!

V.

Powróćmy do przerwanych dziejów żywota tego uczonego męża. Po wydaniu wyżej opisanego dzieła ani na chwilę nie ustał on w pracy. Miał czas dla pracowni chemicznej, dla chorych, dla społeczeństwa i rzecby można dla odetchnienia po wydaniu „Teoryi j. o." Zakrzątnął się około umysłowego ruchu otaczającego społeczeństwa, obowiązek obywatela, zainteresowanie się rozwojem kraju, w którym już stale zamieszkał, to były obecne jego cele i usiłowania. Bo jakkolwiek Wilno posiadało zupełny uniwersytet, poziom umysłowy kraju pod wieloma względami stał nisko, może nawet niekiedy barbarzyństwem trącił. Tak bywa zawsze w krajach w których przez wieki grały surmy wojenne, a o cywilizacyi czasu myśleć nie było.

Uniwersytet natomiast wileński za panowania cesarza Aleksandra I, pod opieką Adama Czartoryskiego i Tadeusza Czackiego, obdarzony przychylnością rosyjskiego ministra oświaty hr. Zawadowskiego, kierowany dzielną prawicą Jana Śniadeckiego, rektora od 1807—1815, równał się wielu uniwersytetom za granicą, pomnażał się w siły profesorskie, zbiory, budynki, liczna młodzież zapełniła wszechnicę powabem młodości, zapału do pracy, orlich zamiarów, a pośród grona profesorów Jędrzej Śniadecki, był z jednym z tych, którzy powagę nauki łączyli z czcią i miłością dla rodzinnych progów, w których ochotna chęć pracowania dla drugich a sobie najbliższych, w gorącej krwi płynęła. Takie to życie kwitło w łonie wileńskiej wszechnicy i poczęło wydawać owoce.

W r. 1805 w poczuciu przysługi dla ludzi poważniejszemi sprawami zajmujących się, odczuwając potrzebę literackiego organu, Jędrzej Śniadecki wraz z prof. Grodkiem i Jundziłłem założyli miesięczne pismo p. t. „*Dziennik Wileński*“. Pierwszy numer opuścił prasę w kwietniu wspomnianego roku, zaopatrzony przedmową pióra Śniadeckiego, wyjaśniającą cel i program wydawnictwa.

„Zamiarem teraźniejszego pisma jest upowszechnienie w języku naszym wiadomości tak fizycznych jako i moralnych, któremi się uczona zatrudnia Europa, tudzież uwiadomienie o ważniejszych odmianach jakie w nich zachodzą. Oprócz tego zdarzają się i pomiędzy nami postrzeżenia godne powszechnej uwagi, mogą się zdarzać wynalazki ciekawe i interesujące, myśli ważne i szczęśliwie oddane. Nie każdy znajdzie w sobie do podobnej pracy ochotę, innym rodzaj życia i osobiste zatrudnienia całkowitego oddania się naukom lub literaturze nie dozwalają. Żeby zatem te drobniejsze owoce nauki i pracy nie ginęły, zaradzają dzienniki, które nie przywiązując się do żadnej szczególnej materyi, zbierają i ogłaszają wszystko, cokolwiek pojedynczych umiejętności lub oświecenia w ogólności się tyczy“.

Przedmowę kończy w następujący sposób: „Patrząc na pierwsze zawiązki i szerzenie się następnie umiejętności, zdaje się, iż światło ich posuwało się zwolna i nieznacznie z południa na północ i że każda część ziemi była przez pewien przeciąg czasu ulubionem ich siedliskiem. Przychodzi czas w którym pochodnia nauk półkuli północnej przyświecać za-

czyna. Korzystajmy z tej pory, starajmy się dobroczynny ich wpływ utrzymać i rozszerzyć i jeśli prawdą jest, iż Opatrzność rzadko ludziom dobroczynnych udziela monarchów, pokażmy, iż umiemy z szczęśliwej pory i z położenia naszego korzystać".

Pewni najlepszego poparcia podali redaktorzy to pismo publiczności, ozdabiając je treścią zadowalniającą nawet wymagających czytelników. Pierwsze miejsce zajmowały kwestye naukowe, popularyzowane w sposób przystępny nawet mniej inteligentnemu ogółowi, poza tem poezya znalazła wybitne swe miejsce, kronika ruchu umysłowego w Eropie; słowem redaktorzy oczekiwali sporego zastępu ciekawych. Tymczasem zawiedli się w oczekiwaniach. Litwa nie była żądną poważniejszej lektury, burzliwe wojenne czasy przeszkadzały swobodnemu rozwojowi, pismo niecały rok istniało, chyba tylko po to, by mogło o swych twórcach zostawić najpochlebniejsze świadectwo. Już wówczas, w czasie wydawania „Dziennika wileńskiego" zwróciło pismo uwagę znawców, już wtedy tylko pochwały spotykały bezinteresownych założycieli, oddających swe trudy i rozum na usługi zacofanego, przecież drogiego, własnego społeczeństwa. Wartość „Dziennika wileńskiego" za granice kraju wnet przedostała się. Jeden z dzienników petersburskich przytaczając w przekładzie rozprawę Czackiego o postępie edukacyi w prowincyach niegdyś polskich a teraz wcielonych do Rosyi, dodał wiadomości dotyczące „Dziennika w." i podnosząc jego wartość, nie chciał przypisać zasługi profesorom założycielom, gdyż twierdził, „że później przybyli do uniwersytetu zagraniczni profesorowie odmienili plan tego pisma i przedsięwzięli utrzymać je, oraz wzbogacić własną pracą"...

Jakkolwiek uznanie pisma było pociechą dla wydawców, nie puścili mimo siebie tej uwagi opartej chyba na złośliwości i w następnym numerze wyjaśnili, „iż Dziennik chcemy mieć zbiorem pracy własnych rodaków, którzy nam piórem dopomagać zechcą, a pisma cudzoziemców u nas bawiących, na ich tylko wyraźne żądanie i za zezwoleniem redakcyi umieszczanemi być mogą". I w rzeczy samej prace w piśmie były wyłącznie swojskie.

Śniadecki jako jeden z założycieli nie szczędził pióra dla wzbogacenia miesięcznika. W pierwszym numerze umieścił pracę p. t.: Krótki wykład systematu Galla z przyłączeniem niektórych uwag nad jego nauką, (teorya z budowy i ukształ-

towania czaszki wyprowadzająca wnioski dotyczące cech psychicznych i właściwości charakteru badanego indywiduum, teorya bezpodstawna, która zajęła swego czasu umysły dla swej oryginalności, jednak niebawem upadła). Po ukończeniu tej rozprawy umieszczał rozprawki bądź na czasie będące, bądź praktyczne: „Niektóre wiadomości o żółtej gorączce“; „Uwaga o krowiej ospie“; „O przypadkach pozornej śmierci“; „O ogniu wszczynającym się w ciałach żyjących“. Najważniejszą pracą pomieszczoną w sierpniowym zeszycie była rozprawa p. t.: „O fizycznem wychowaniu dzieci“, jakkolwiek nie jest to jeszcze ta znana, cenna książka, która przez wiele lat była przewodnikiem tylu troskliwym matkom w Polsce, była tak chciwie czytaną i wielu wydań się doczekała. Dziś w powodzi literackich i naukowych wydawnictw zapomnianą została, jednakże czy nowe prace w tym kierunku podają coś nowego lub więcej zbawiennego, wątpić należy.

W dzienniku wileńskim pomieścił autor w krótkości swe uwagi, które później powiększył, uzupełnił i w osobnej książce wydał w roku 1822.

Bo też wojna srożąca się na terytoryum dawnej Rzeczypospolitej nie pozwalała na spokojną pracę w autorskiej kuźni.

Śniadecki nie był żołnierzem, ale lekarzem, został więc wciągnięty w wir wojny, porzucił w pewnej mierze pracownię, książki, aby w wojskowych lazaretach nieść gorliwą pomoc rannym ze wszystkich stron do Wilna przywożonym. On to z innymi profesorami wydziału lekarskiego dozorował i zawiadywał szpitalami i chorymi, z tem większą gorliwością, że między żołnierzami byli rodacy, do których poza obowiązkami lekarza przywiązywała sympatya. Było to w 1807 r., w którym sprzymierzone i połączone wojska rosyjskie i pruskie usiłowały stawić opór wszystko niszczącej potędze Napoleona I. W tym to czasie, z powodu właśnie wojny miał Śniadecki niemiłą przeprawę z generał-gubernatorem Litwy Korsakowem. Korsaków naglony potrzebą postanowił na wojenne szpitale zabrać wszystkie domy należące do uniwersytetu, prócz głównego gmachu akademii. Rektor uniwersytetu Jan Śniadecki w obronie gmachów, widząc, że zabrany dom dla kandydatów stanu nauczycielskiego wraz z zarządem i kuchnią, położony w ciasnej ulicy na ścieku wód, był wcale na szpital nie

odpowiedni z powodu niebezpieczeństw epidemii, zdarzających się w takich przypadkach, po prośbach i powoływaniach się na ustawy, chwycił się tego w obronie całości uniwersytetu i poddał myśl Towarzystwu lekarskiemu, by wystąpiło z uwagami do rządu i wspomniało o klęsce, jakiej miasto uledz może, jeżeli szpitale pośród miasta będą zakładane. Prezesem Towarzystwa od roku 1806 był Jędrzej Śniadecki, za niego atoli uczynił to prof. Frank, lecz zamiast wystosować uwagi, surowo skrytykował i wytknął porządki gubernatora. Zredagowawszy takie uszczypliwe pismo podpisał obok siebie Jędrzeja jako prezesa. Gubernator, co łatwo było przewidzieć, uczuł się dotkniętym, i rozgniewał się na Tow. lek. a przedewszystkiem na jego prezesa i postanowił zemścić się na nim w ten sposób, że zamierzył wysłać go do szpitali wojskowych w Rosyi. Z tego niemiłego położenia wyratował go brat Jan, rektor, bowiem jak to umiał, energicznie i z ustawą na ustach sprzeciwił się dowolnemu rozporządzaniu osobą profesora uniwersytetu, do którego jedynie prawo miał minister oświaty. Aby zaś ułagodzić osobisty gniew generał-gubernatora, w imieniu wydziału lekarskiego ofiarował studentów do posługi lekarskiej w szpitalach. Tym sposobem, za zgodą wszystkich i gubernatora przebłagał i Jędrzej został w Wilnie i budynki uniwersyteckie uszanowane zostały.

Za prace i trudy niesione dla rannych, cesarz Aleksander I obdarzył Jędrzeja Śniadeckiego pierścieniem brylantowym i tytułem radcy kolegialnego.

Jak wspomnieliśmy wojna oderwała Jędrzeja od mozolnych zajęć twórczej pracy, jaką była praca „O fizycznem wychowaniu dzieci“ jednakowoż człowiek ten w pracy widzący całe zadanie życia, wyższy nad poziom wypełniania tylko swych powinności, tyle czasu umiał znaleść, iż przygotowywał drugie wydanie „Początków Chemii“ o czem już była mowa. Prócz tego na wezwanie Izby edukacyjnej Księstwa Warszawskiego, organizującej szkoły krajowe na nowo, napisał podręcznik dostępny młodzieży szkół średnich i odesłał do Warszawy pod tyt.: „Krótki rys chemii dla użytku szkół narodowych księstwa warszawskiego“. Do rękopisu dołączył autor list a w nim oświadczył, że raz pierwszy pisał książkę elementarną, sobie więc niedowierza i pragnie, by na próbę wprowadzić ją w kilku szkołach. Wykazane tym sposobem

braki chętnie uzupełni, a wtedy dopiero można będzie książkę dla wszystkich szkół przepisać. Śniadecki uczynił to z powodu bezpretensyonalnej skromności, na niej atoli się nie poznano. Komisya do ksiąg elementarnych, jak to zwykle bywa, skromność pomieniała z nieudolnością, na praktycznych radach nie poznała się i źle uprzedzona, pracę odrzuciła jako ciemną i niezrozumiałą, nie suponując bynajmniej, że jej referent oceniający rękopism, mógł nie zrozumieć chemii na jej nowem stanowisku. Bo też trudno przypuścić, by zawołany chemik, autor prac chemicznych, profesor chemii w uniwersytecie, napisał elementarz błędnie, trudno pomyśleć, że twórca słownictwa chemicznego i znakomity stylista, stwierdzający to we wszystkich swych dziełach, mógł pisać ciemno i zawile. Zdaje się, że na skromność Śniadeckiego odpowiedział ktoś pychą i zarozumiałością.

Aby w zupełności wyczerpać ten, że tak nazwiemy, wojenny okres, w którym Litwa od r. 1806—1813 pozostawała, w których to latach z przerwami wojska maszerowały na południe i zachód z gubernii rosyjskich, zostawały na chwilowy pobyt, to znowu ranni przez długie miesiące zajmowali publiczne budynki i absorbowali czas lekarzy, musimy wymienić nowych kilka prac niestrudzonego profesora i ważną dla niego uroczystość otwarcia w r. 1807 nowego gmachu dla chemii, wybudowanego za jego wskazówkami przez architekta uniwersyteckiego Szulca. Piętrowy, obszerny budynek mieścił najpiękniejszą wówczas w Wilnie salę wykładową, obliczoną dla licznych Śniadeckiego słuchaczy, obok sali miał obszerne pracownie.

Z pracowni tej w pewnych odstępach czasu pojawiały się prace naukowe. Obok drugiego wydania „Początków Chemii“ w r. 1807 napisał Śniadecki rozprawę, „Rozbiór teoryi Winterla czterech pierwiastków nieorganicznego pochodzenia“. (J. Winterl profesor chemii w Peszcie wydał w r. 1800 teoryę zbliżającą się do nowszych teoryi o spalaniu i teoryi atomistycznej). Potem wykład „Uwagi Dupuytrena o niektórych gazach duszących“. Recenzya tłumaczonej przez księdza Korzeniowskiego fizyki Haüy, w której zastanawiał się nad kwestyą, jaką powinna być książka elementarna dla użytku uczącej się młodzieży. Podniecony w tej myśli zapewne skutkiem wezwania izby edukacyjnej księstwa warszawskiego do napi-

sania elementarnego podręcznika chemii. Wreszcie rzecz „O rozpuszczeniu“, elaborat wysłany do król. Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie i pomieszczony w t. V roczników tegoż towarzystwa.

W rozprawie tej zajmuje się autor zagadnieniem, co to jest rozpuszczalność ciał chemicznych i te właśnie badania uzupełniły wspomniane drugie wydanie „Początków Chemii“. Rozróżnienie związków chemicznych od ciał w płynach rozpuszczonych wydawało się autorowi rzeczą niezbędnie potrzebną, tem więcej, iż może baczniejszą zwracał na to uwagę, niż wielu współczesnych jemu badaczy. I wielką słuszność miał w tym względzie, powinowactwa chemiczne dawały mu zupełnie inne rezultaty, a inaczej zachowywały się ciała n. p. w wodzie rozpuszczone. Następstwem tych badań było ścisłe odróżnienie własności ciała fizycznych i chemicznych, które to ostatnie własności są niemal jedyną podstawą rozpuszczalności ciał w płynach.

W roku 1808 wyszła na jaw praca, która rezultatów żadnych nie zdobyła. W pracach swych raz ten jedyny, rzec by można, pomylił się Śniadecki, lecz czyż był jedynym uczonym, któremu coś podobnego zdarzyć się mogło? W tych latach odkryto ciekawy, nieznany dotychczas metal, platynę, który uznano za ciało mające zupełne warunki pierwiastka. Chemicy w Europie częstokroć zajmowali się nową, zajmującą dla nich rzeczą, za nimi poszedł nasz uczony i czynił doświadczenia badając własności platyny. Z toku doświadczeń otrzymał ciało, w jego spostrzeżeniach przedstawiające się jako ciało inne, odmienne od platyny. Ciało to nazwał „vestium“ i ogłosił o niem pracę pod tyt.: „Rozprawa o nowym metalu w surowej platynie odkrytym“. Pracę posłał do Paryża dla ponownego badania i sprawdzenia rzeczywistej obecności nowego pierwiastka, tymczasem platyna została pierwiastkiem jak była, a Śniadeckiemu zostało na pocieszenie to, że już wielu chemikom udała się podobna niespodzianka, przy szukaniu nowych pierwiastków. Ciało o którem Śniadecki mówił, było owocem kilku błędów przy doświadczeniach, a te powstały przedewszystkiem dlatego, że platyna jest materyałem bardzo trudnym do zbadania.

Po tak niewdzięcznej dla autora pracy, zabrał się do wydania drugiej części „Teoryi jestestw organicznych“. Było

to w roku 1811. Już wiemy, że ta część druga jest niejako praktycznym wywodem części pierwszej, zastosowanym w szczególności do człowieka.

Jednak tu na tem miejscu dodać się godzi, że zapał uczonego przewyższył niepowodzenia dość obojętnie zrazu przyjętej części pierwszej. Boć dzieła wystrzelające nad mierność nie wychodziłyby na jaw z rąk twórców, gdyby ich miłość dla przedmiotu, ich oddanie się nauce, ich poświęcenie dla drogiej sprawy, dla wyższych celów, nie górowało nad bolesnem uczuciem, jakie sprawia obojętność nie poznających się na dziele ludzi i surowa, nieraz poniżająca krytyka. Śniadecki wprawdzie nie mógł zbytnio narzekać na niepowodzenie, ponieważ teorya jego dość szybko znalazła należne uszanowanie, dość szybko była przetłumaczoną i tak zaszczytnie przez obcych ocenioną, ale w r. 1811 tego jeszcze uczony nie znał i nie odczuwał. Tak bowiem pisze w przedmowie do części drugiej: „Pierwsza wprawdzie część tego pisma nie wiele mi dała sposobności powzięcia ochoty do dalszej pracy; częścią dlatego, żem za mało znalazł czytelników, częścią, iż niektóre dochodzące uszu moich zdania pokazywały, iż albo nie byłem zrozumiany, albo sądzony z dawnych uprzedzeń. Ale jakkolwiek bądź, postanowiłem zostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi i przestać tymczasem na wewnętrznem zadowoleniu z przekonania, iż mogłem i ja cośkolwiek do postępu umiejętności, w której piszę, i do wzbogacenia mego języka przyłożyć“.

W pamiętnych latach 1812 i 1813 chyba nikt nie potrafiłby w Wilnie obojętnie spoglądać na straszny, tragiczny przewrót potęgi wojennej geniusza. Wszak upadek Napoleona, rozbicie jego potężnej, dotychczas niezwyciężonej armii, to wypadki dziejowe rozegrane na terenie kraju, którego Wilno było stolicą. Liczne zapiski upamiętniają nam te dzieje Wilna w tych czasach. Mieszkańcy żyli w ciągłej trwodze, znosili klęski wojny, przemocą strasznej burzy zaciągnięci w wir walk, musieli służyć każdy w sposób właściwy na posterunku i swe prace, swe zdrowie oddać na pastwę wojennego porządku. A tem więcej Śniadecki, który od kilku lat wysługiwał się wojnie, ratując jej ofiary. Jakże nie miał rzucić pióra, zaniechać myśli, kiedy tysiące rannych zalegało szpitale, domy prywatne, ba nawet ulice. A w czasach najgorętszych t. j. w zimie roku 1812 na 1813 toż spoczynku nie miał, toż chwili

wytchnienia znaleść nie mógł. Chmary zgłodniałych, chorych żołnierzy ciągnęły traktem przez Wilno na zachód. Każdy z nich wymagał opieki i ratunku. Głód i wściekłość spowodowana niedolą, złamaną butą żołnierską, kusiła ich do tego stopnia, że umieli zdobywać prowianty i marnować je po nasyceniu głodu; posunęli się przecie do tego stopnia zajadłości, że napadali zbiory i gabinety uniwersyteckie, by wypić spirytus konserwujący preparaty w słojach. Z takimi ludźmi miano do czynienia, jakże więc łatwo pojąć można ciężary i odpowiedzialność lekarzy czuwających nad niedobitkami, liczącymi sporą ilość tysięcy, po wielkiej armii. To też obecni tym przerażającym wypadkom widzieli i z podziwem patrzyli na Śniadeckiego, wtedy już tylko, wyłącznie poświęcającemu się tym nieszczęśliwcom. Praca jego częstokroć dobrowolnie dla idei podjęta, dochodziła do takich rozmiarów, że w nocy nie stawało mu czasu na spoczynek, w dzień widziano go ustawicznie przy chorych w szpitalach.

Pogrom Napoleona pod Berezyną stał się dla Jędrzeja Śniadeckiego polem bezwiednego popisu; nie wiedząc, ani myśląc nad tem dał wspaniały przykład obywatelskich obowiązków, iście chrześcijańskich cnót, wzór doskonałego serca. To wszystko, to wytężające czuwanie, ta nadmierna zapobiegliwość, wywarły wreszcie niekorzystny wpływ na zdrowie jego, zwątlał, wydelikatniał i uległ nakoniec ciężkiej chorobie epidemicznej grasującej między żołnierzami. Choroba rozwinęła się silnie i groźnie. Długie tygodnie walczył między życiem a śmiercią, były chwile, iż tracono nadzieję, aby mógł do zdrowia powrócić wielbiony, podziwiany, żałowany powszechnie profesor. Ale wreszcie choroba się przełamała, przytomność wróciła, siły polepszyły się i powstał przecież, aczkolwiek przez długi okres czasu znosił skutki ciężkiej niemocy. Jak szerokie warstwy zajmowały się głośnym, uwielbianym człowiekiem, jak wielu ludzi z trwogą myślało o chorobie wielkiego lekarza, tak po jego powrocie do zdrowia szerokie warstwy społeczeństwa szczerze i radośnie witały Śniadeckiego wydartego śmierci. Radość ta, będąca odgłosem serc pełnych wdzięczności i przywiązania, była zarazem dowodem, jak wielkie już były zasługi Śniadeckiego wówczas dla kraju i jak szczerze umiano je ocenić.

VI.

Powrót do zdrowia powolny, przeciągły, wstrząsające wypadki i gwałtowna choroba ze swemi następstwami, właśnie to, co opóźniło powrót dawnej czerstwości i siły, nie pozwoliło przez lat kilka następnych rozwinąć na nowo olbrzymiej dawnej pracy. Oddany uwielbionemu życiu rodzinnemu, w którem był bardzo szczęśliwym, spełniający jedynie publiczne obowiązki wytrwał tak Jędrzej Śniadecki aż do r. 1815. W tym roku odnowienie tak dawno zaniechanego wydawnictwa „Dziennika wileńskiego“ przez uniwersyteckiego drukarza Zawadzkiego, było bodźcem do nowych naukowych i literackich zatrudnień, było momentem przypominającym Śniadeckiemu, że zaniedbywać swych talentów się nie godzi. Tem więcej pobudziło go do literackiej pracy to, że chciał z sympatyi do „Dziennika w.“ wzbogacić go kilku rozprawami. Bo jakkolwiek pismo to w inne już przeszło ręce, miło mu było wesprzeć braterskie pismo; nie zapomniał przecież, że przed kilku laty, takie samo redagował, dał takie nazwisko i tyle radości i nadziei do niego przywiązywał. Niebawem więc po rozpoczęciu wydawnictwa umieścił artykuł: „Objaśnienie niektórych punktów w nauce o ciepliku“, czytany na posiedzeniu akademickiem uniwersytetu wileńskiego dnia 15 marca r. 1815. Wkrótce potem wydrukował rzecz: „O pokarmach, napojach i sposobie życia we względzie lekarskim“.

Rozprawa niniejsza jest drugą z rzędu zdobywającą szerokie uznanie, rozgłos, pochwały dla autora i zastęp chciwych czytelników; pierwszą było „Fizyczne wychowanie dzieci“. Bo też nic szczęśliwszego w popularyzowaniu nauk, jak dobieranie tematów zajmujących każdego, wpraszających się niejako swą treścią do odczytania. Autor przebiega kolejno wady i błędne zapatrywania na zwyczaje żywota ludzkiego, i odwołuje się do starożytności, stawiając za przykład wiele urządzeń społeczeństwa greckiego i rzymskiego.

W uwagach tych przebija się owa szczera, niekłamana dążność Śniadeckiego do wspierania, rozwijania rodzinnego społeczeństwa. Nieraz bolejąc wobec zakorzenionych ułomności własnego społeczeństwa, wypowiada cierpkie słowa zarzutów, widzi rozwinięte żądze, lub bezmyślne życie bez jutra

i jak się będziemy mieli sposobność przekonać, częstokroć satyrą i gryzącym dowcipem smaga rodaków, lecz gdy oglądamy całokształt prac i myśli tego wielkiego człowieka, musimy uznać jego prawa ojcowskie nad ziomkami, musimy dostrzedz że jedynie miłość dla kraju, żal, że nie jest tak, jakby być mogło, i uczucie ogólnego ubóstwa, były podstawą jego uwag, satyry i karcenia. W tych pismach, w których odzywał się do wszystkich, wszystkich miał na myśli i uwadze, zacząwszy od dzieci, czego dał dowód w „Fizycznem wychowaniu dzieci“ i świeżo w umieszczonym liście do redaktora dziennika wileńskiego z powodu wyjątku z dzieła pani Staël-Holstein o Niemcach.

Pisząc list ten Śniadecki jeszcze raz dowiódł, że miał wszelkie dane na opiekuna uczciwego, ale zupełnie przez długą anarchię nieoświeconego i rozbitego narodu. Owa p. Staël zalecała naukę języków jako najdoskonalszą i pomocną dźwignię w wychowaniu dzieci i młodzieży. I zupełną miał słuszność Śniadecki, że publicznie ostrzegł ogół przed temi trującemi zasadami; okazał się bystrym spostrzegaczem i znawcą swoich, kiedy twierdził, że główną podstawą naszej pomyślności będzie, gdy nauki ścisłe, fizyczne i myśl pobudzające będą podstawą wychowania młodego pokolenia.

„Jeżeli gdzie, to u nas uczą dzieci języków, bo cała niemal edukacya domowa, całe wychowanie kobiet kończy się na tej jednej nauce. Pytam się W. Pana, cożeśmy na tym sposobie wychowania zyskali i nasze władze umysłowe czy lepiej są wydoskonalone jak u innych narodów? Owszem, dlatego wyjątek z pisma p. Staël uważam za szkodliwy, że jeżeli gdzie, to u nas należy starać się położyć tamę tej sroczej edukacyi; jeżeli kogo, to nas należy pociągać do zamiłowania umiejętności dokładnych, które i lepszych wymagają głów i same jedne są w stanie wydoskonalić i rozwinąć władze rozumu. Wszakże w poezyi i w literaturze możemy stanąć obok z wielu ludami europejskimi, ale właśnie w naukach dokładnych bardzośmy długo po Koperniku drzemali i zaledwo teraz zaczynamy cokolwiek oczy przecierać. Dlatego też niektóre narody ościenne mają nas za mniej oświeconych“.

Z kolei nastąpiła omówiona już sprawa zatargu z hr. Chodkiewiczem i trzecie wydanie „Początków Chemii“ w wielu miejscach z gruntu przerobione i zastosowane do postępów

tej nauki, z powodu najnowszej teoryi Daltona o stosunkach chemicznych ze względu na atomistyczny skład ciał. (Dalton wydoskonalił teoryę o atomach i dowiódł, że atomy jednego pierwiastka mogą się łączyć z jednym, dwoma, trzema, atomami innego pierwiastka).

Następnie na posiedzeniu wydziału fizycznego odczytał pracę „O potrzebie połączenia nauki stosunków chemicznych z teoryą rozpuszczenia“, nadto dwie prawie ściśle lekarskie rozprawy pomieścił w „Pamiętniku Lekarskim Wileńskim“, organie Towarzystwa lek. we Wilnie, którego był długoletnim prezesem. Pamiętnik lekarski pojawił się w r. 1818.

Widzimy tedy jak czynnie mięszał się Śniadecki tam, gdzie tylko można było coś przysporzyć do umysłowego dorobku własnego kraju. Tak żywo interesując się ruchem umysłowym, gdzie mógł krzewił go i budził, a opór nie zniechęcał go, tylko zapalał, na dnie serca zostawiając jedynie boleść i smutek z powodu obojętności ogółu dla nauki, sztuki i wszystkich dziedzin umysłu ludzkiego. I na chwałę takich ludzi ratujących honor ojczyzny, utrzymujących jego światy umysłowe, nie znikła polska sztuka i nauka w zamieszkach wypadków politycznych. Wielcy ci ludzie, a możnaby powiedzieć, męczennicy w imię nauki, skupiali się w niewielkie ogniska w Krakowie, Warszawie i Wilnie, kiedy po całym kraju szalały w czasie rozbiorów i okresie po rozbiorach nawalnice, burze, zamęty i klęski. W Warszawie Towarzystwo przyjaciół nauk, w Krakowie i we Wilnie uniwersytety były ucieczką, jedyną podporą, stróżami oświaty w Polsce, a jakkolwiek posiadały wielu mężów noszących szczytne hasła i niezmordowaną wytrwałość w ciężkich walkach o byt, akademia krakowska niemczona przez Austryaków i Towarzystwo Przyjaciół Nauk nieuposażone w odpowiednie fundusze, nad siły pracować dla społeczeństwa nie mogły. Prawie jedyny uniwersytet wileński, nagle za Stanisława Augusta podniesiony do pierwszorzędnej jakości, jaśniejący pod rządami cesarza Aleksandra I, za rektoratu Jana Śniadeckiego dawał wyraz rzetelnego życia, pobudzając prądy umysłowe, rozwijając młodzież tak znakomicie, że historya złożyła hołd pamięci tych czasów.

Winić naród skołatany, rozbity, że o nauce nie pamiętał, nie można. Naród pędzony nadzieją jutra, w każdym dniu wyczekujący wojny, ważnych jakichś zdarzeń przychylnie dla

rozdzielonych ziem działających, zapomniał o konstytucyi 3 maja i tak już bez realnej wartości, zapomniał o tradycyi komisyi edukacyjnej, to nie miało na razie korzystnych warunków, gdyż każdy jeżeli w apatyę i niezdarność nie popadł, czekał lada dzień w wojnie rozwiązania kwestyi. Wiara w orły napoleońskie tem silniej rozbudziła ufność w narodzie i oczekiwanie nowego bytu politycznego. Przenoszono bezwarunkowo wojnę nad spokojną pracę około podniesienia wartości kraju. Wojna przecież mogła dać w tej chwili zwycięstwo! Takie było usposobienie Polski.

A wady takie silne, a takie zgubne w tym stanie rzeczy nie tylko ustępowały, ale rosły. Ci zatem stróże godności i przyszłości narodu, ci silni a spokojni ludzie pracy, myśli i nauki widzieli naród kroczący po złej, a przynajmniej bardzo niepewnej drodze. Łączność, związywanie się w grupy celem łatwiejszej, płodniejszej wspólnej pracy, tworzenie towarzystw, układanie programów, uważali za pewną rękojmię lepszej doli.

Z zachodniej Europy wiał prąd taki. W związkach, zgromadzeniach zaczęto upatrywać wielkie społeczne podstawy, za przykładem zagranicy, polscy szermierze pracy przyjęli tę samą dążność, czego przykładem, pomijając inne, jest założenie Towarzystwa lekarskiego w Wilnie 1805 r., towarzystwa ze względu na Jędrzeja Śniadeckiego najbliżej nas obchodzącego.

Właśnie Jędrzej Śniadecki był wyznawcą zasady solidarności i łączności. Wszak kto zajmował się towarzystwem tak gorliwie, że jego prezesem został, kto w „Dzienniku“ usiłował połączyć uczonych i literatów dla szerzenia oświaty, w krwi chyba nosił poczucie, pojęcie solidarnej pracy.

To też zawiązane w r. 1817 „Towarzystwo szubrawców“ pamiętne i głośne w całej Polsce, pod skromną nazwą i formą przybierające tak szczytne cele, jak poprawę moralności społeczeństwa, nie mogło istnieć obojętnie w Wilnie obok Śniadeckiego. Zawiązanie Towarzystwa spowodował przypadek. W sierpniu w r. 1816 pojawiła się na bruku wileńskim ulotna satyryczna broszurka p. t.: „Wiadomości brukowe czyli rozmowa na placu przed ratuszem wielkiego X z małem x“. Utwór ten znalazł dobre przyjęcie ze strony publiczności. Zachęcony tem autor wydał w tydzień później drugą satyrę

p. t. „Wiadomości brukowe, czyli przechadzka na Zamkowej Górze“. Kontrym redaktor „Dziennika wileńskiego“ widząc powodzenie tych pisemek podjął na siebie to wydawnictwo p. t. „Wiadomości brukowych“. Wiadomości wychodziły więc zrazu w postaci ulotnych świstków, lecz wkrótce przeobraziły się w pismo peryodyczne, grupując koło siebie tych, którzy hołdowali wesołej satyrycznej naganie, którzy pod formą zaciekawiającego żartu lub dowcipu chcieli coś z gorzkiej prawdy ludziom powiedzieć.

Redagowanie „Wiadomości brukowych“ zacieśniło węzeł między tymi ludźmi. Jedną myślą ożywieni, prowadzeni poczciwemi zasadami pracy nad sobą i drugimi, nie uznający surowego kaznodziejstwa jako jedynego sposobu karcenia i naprawy moralności, związali się wreszcie w r. 1817 w towarzystwo, noszące godło „Towarzystwa Szubrawców“. Śniadecki w lot ocenił i zrozumiał znaczenie takiego towarzystwa. Coś w rodzaju Rzeczypospolitej Babińskiej, a przynajmniej coś równie klasycznego i oryginalnego pociągnęło z natury dowcipnego profesora. Całą duszą przylgnął do towarzystwa składającego się zrazu z dwunastu członków. Bo też jasnem było, że towarzystwo takie może więcej przysporzy pożytku i więcej pobudzi zacofane społeczeństwo, niż potrafią te poważne pisma, które i tak mało kto czytał. Uśmiechało się to uczonemu obywatelowi, że lekka forma i humor dotrą nawet do rąk kobiet, które w owych czasach niemal zupełnie nie czytały. A potem, jak to pięknie, jak przykładnie, jakiem świadectwem wielkości ducha Śniadeckiego jest właśnie to, że był „Szubrawcem“. Cel święty, poprawa i podniesienie ziomków, był u niego pierwszym. Nie wzbił się w pychę z powodu zajmowanego stanowiska profesora uniwersytetu, nie chodził w koturnach dlatego, że był radcą stanu, nie odebrało mu skromności świetne powodzenie lekarskie, dzieła jego nie nastroiły go puszystą sowią powagą, jak to tak często u innych bywa. Oto kilku młodych, albo gołych literatów związało się w stowarzyszenie, on już dostrzegł w niem znaczenie społeczne, pojął korzyści i nie tylko osobą, ale i piórem przewodniczył towarzystwu Szubrawców. W dwa lata po zawiązaniu się tow. obrany prezesem ułożył ostatecznie cel i program stowarzyszenia. Pierwszy ustęp programu odrazu wprowadza nas w koło zasad, któremi się rządzono: „Zamiarem towarzystwa jest, nie

mając na celu żadnych szczególnych osób, wyświecać szpetność tych przywar i nałogów, które z natury swojej nie mogą być prawem powściągane, są jednak dla społeczeństwa bardzo szkodliwe, a u nas zdawna pospolite i co gorsza, że za występki i wady najczęściej nie są poczytywane".

Towarzystwo szubrawców miało też swój regulamin odpowiadający humorowi członków. Godłem była łopata, w myśl gminnej opowieści mogąca unosić w powietrze rozmaite osoby, zaglądać wszędzie i jeźdzca w oka mgnieniu przenosić z miejsca na miejsce, choćby o sto mil oddalonego, o sto gór i o sto rzek. Drugiem godłem był ogromny gąsior napełniony krynicznią wodą na znak umiarkowania i wstrzemięźliwości Szubrawców. Zgromadzenia odbywały się co niedzielę, dzban wody z napisem „aqua fontis" (woda źródlana) stał przed prezesem, sekretarz prowadził pióro, wszyscy członkowie siedzieli dokoła stołu z nakrytemi głowami. Pod obrady wchodziły kwestye dotyczące następującego numeru „Wiadomości brukowych", poczem wolno było czytać własne prace i prowadzić swobodną dyskusyę nad bieżącemi wydarzeniami w mieście i kraju. Członkowie dzielili się na urbanów i rustykanów t. j. miejscowych i zamiejscowych, każdy z nich przybierał jakiś pseudonim, najczęściej z mitologii litewskiej. Śniadecki przybrał litewską nazwę Sotwaros (bóg słońca).

Przez pierwsze dwa lata nieskładnie szło towarzystwu, brak energicznego przewodnictwa nie dozwalał spełniać przedsięwziętych zamiarów. Członkowie Szubrawcy nie wiedzieli w jaki sposób obronić się przed rozszerzającą się nieprzychylną opinią, którą podburzali dotknięci, obrażeni lub zgorszeni śmiałem występywaniem Szubrawców. A tacy byli, jakkolwiek „Wiadomości brukowe" osób nie tykały. Kto się do winy poczuwał doczytawszy się swej historyi w Wiadomościach, a był dość zarozumiały i głupi, z pogardą lub lekceważeniem wyrażał się o Szubrawcach. Dopiero w r. 1819 Śniadecki jako prezes wzmocnił losy towarzystwa. A że tak było, może świadczyć wiersz napisany ku czci Sotwarosa:

Niedawno zgraja szalbierzy podła
Ciężkie z nami walki wiodła,
Miotając na nas przekleństwa
I obelgi i potwarze,
Już śpiewali pieśń zwycięstwa.
W tym największym walk pożarze,

Gdy w kajdany kuć nas mieli
Głos Sotwarosa ozwał się za nami,
Jak uderzenie gromami,
Nie wiemy, gdzie nasi wrogowi zniknęli.

Losy towarzystwa ujął Śniadecki energicznie w swe dłonie. Szubrawcy próżnować nie mogli, bawić się prezes nie pozwalał, ponieważ poważniej i idealniej niż wszyscy, przygodnie zawiązane towarzystwo oceniał. Tak samo jak wszyscy satyrę, dowcip, lekkość formy stawiał na pierwszym planie, lecz poza tem i przyjemnością pisania widział czytelników mających ulegać satyrze, mających niepostrzeżenie wyśmiać i swe własne wady. Historyk towarzystwa stwierdza to, że za prezesury Śniadeckiego zaniechano zabawy i opieszałości:

..... dzisiaj co innego, minęły te święta,
Nastał wielki Sotwaros, bicz na remenenta,
Któż tę chwałę opisze, którą nas obdarza?

Szubrawcy zrozumieli zasługi Śniadeckiego, energiczne rządy oddziałały na nich ożywczo, z wdzięczności za to w r. 1821 ofiarowali mu okazale oprawny zbiór Wiadomości wraz z ozdobnym dzwonkiem oraz karafkę na wodę.

Obok tego, że dzielny prezes zajmował się rozwojem towarzystwa, zasilał swem znakomitem piórem organ jego, „Wiadomości brukowe“. Artykuły pióra Sotwarosa należą do znamienitszych, zapiski tegoczesne dotyczące historyi „Szubrawstwa“ pełne są zachwytu i uniesienia dla dowcipnego próżniaka-filozofa, jakim się Śniadecki w swych satyrycznych pismach przedstawiał. Uczony humorysta oparłszy się na wzorach przeważnie angielskich, niekiedy naśladując Swifta, niekiedy zaś pierwszorzędnych satyryków Krasickiego i Węgierskiego, błyszczał, olśniewał spokojem i siłą ośmieszania, zwrotami humoru i równorzędnej powagi w opowiadaniu. To wszystko kojarzył z wytwornym, nienagannym stylem i językiem, swobodnem i łatwem piórem, prostotą niekiedy zastanawiającą. W pismach jego satyrycznych wyłania się w całości ta bogata dusza, umiejąca patrzyć i widzieć, obserwować, zdawać sobie zupełną sprawę z zadania jakie myśl powzięła. Dziś jeszcze artykuły pióra Śniadeckiego zwracają uwagę czytelnika, dziś mimo zmienionych pojęć i form pisarskich odznaczają się rzadką jędrnością treści i owym dziwnym ze względu na uczoność i powagę

autora dowcipem, płynącym lekko, jakby bez najmniejszego wysiłku.

Pierwszą próbą tego rodzaju pisania były: „Postrzeżenia włóczęgi Guliwera, ogłoszone przez Bogumiła Uważnickiego, szlachcica oszmiańskiego".

Postrzeżenia podzielone są na cztery rozdziały; pierwszy z nich zajmuje się opisaniem mieszkańców na wyspie Balnibari. Aby odrazu wejść w tok pism satyrycznych Śniadeckiego i odrazu pojąć jak jasno i bez ogródek mówił o własnem społeczeństwie, chociaż w formie umiarkowanej, wystarczy zacytować kilka ustępów z tej podróży.

„Na wyspie Balnibari są trzy klasy ludzi; z których jedna chodzi w koturnach (Guliwer był człowiek uczony a łapciów widać nie znał), mieszka pod słomianą niską strzechą, dymem oddycha, a plewami na pół z mąką się karmi; każdy człowiek w tej klasie, z urodzenia i obowiązku orze, sieje i młóci, ale koniecznie na tym kawałku ziemi, na którym się urodził. Druga klasa chodzi w butach i długich sukniach na kształt szlafroków, głowy podgala, a długim ręcznikiem, rozmaitemi farbami upstrzonym się przepasuje; a to jak widać dla podwiązania i podpasania brzucha, który zazwyczaj jest wielki. Chociaż nie uważałem, żeby ta klasa miała większe głowy od innych, bo zdawało mi się, że najwięcej brzuchem celowała, przekonałem się jednak, że celowała rozumem, bo się oczywiście rodziła i z zupełną nauką i ze zdolnością do wszystkiego. Dowodem tego oczywistym to było, że ta klasa pisała prawa i że posiadała wszystkie urzędy, i to bez żadnej nauki, jedynie za nadaniem przez drugich członków tej klasy"... „Ta klasa utalentowana, sama jedna posiada ziemię, którą za pomocą klasy koturnowej uprawia. Trzecia, bardzo liczna, chodzi z brodą i wiszącymi po skroniach włosami; nosi długie szlafroki nakształt klasy przepasanej, ale zawsze czarne... Ta klasa umie z mąki żytniej pędzić trunek opajający i smrodliwy, za pomocą którego od klasy koturnowej wszystko wyłudza i nic nie robiąc z niej żyje, za co klasie golonej rocznie umówioną sumę opłaca; za oszukiwanie zaś samej klasy golonej nic nie płaci".

Czyż trzeba długo zgadywać, iż mowa tu o chłopach naszych, szlachcie i żydach? I jak natychmiast wkrada się w dalszy ciąg owa kiełkująca już wtedy myśl, podniesiona

głośniej za czasów rewolucyi francuskiej, u nas w konstytucyi 3 maja i w uniwersale Połanieckim Kościuszki, myśl usamowolnienia chłopów.

„Gdym był na wyspie, jeden członek akademii podał projekt oswobodzenia klasy koturnowej, namawiając przepasanych, aby tej klasie pozwoliła mieszkać i orać gdzie się jej podoba“. Ale wnet wyśmiewa i ten projekt akademika z wyspy Balnibari, gdyż projekt był tak obmyślany, że nie tylko nie zaradzał niedoli klasy łapciów, ale dodawał więcej opiekunów, którzyby jeszcze dokładniej ją wyzyskali.

W dalszym ciągu zajmuje Śniadeckiego ludność tej wyspy: „Mieszkańcy z przyrodzenia dobrzy i poczciwi, dotknięci są niemal powszechnie osobliwą wcale chorobą oczów, jakiej na innych pobliskich wyspach nigdy nie widziałem. Ta choroba zależy na tem, iż ich druki wszelkiego rodzaju niezmiernie rażą i dlatego nic nie czytają i czytać nie lubią. Stąd pochodzi, że księgarze bardzo się źle mają, a autorowie jeszcze gorzej, pisząc po większej części jedni dla drugich. Owszem ci ostatni często się kłócąc i nienawidząc nawzajem, przez prawdziwą lub udawaną pogardę rzadko jedni drugich czytać raczą. Kogo więc chuć autorska mocno i bez ratunku dręczy, ten w dziełach swoich długo butwiejąc i służąc to myszom na gniazda, to molom za pastwę idzie nakoniec pod placki i na funciki. Wszakże ta ślepota panuje tylko w klasie przepasanej (t. zw. obwiniętej pasem na żupanie lub kontuszu) koturnowa albowiem nie może czytać, bo nie umie“... Potem piętnuje manię francuzczyzny w Polsce, nazywając paplanie językiem francuskim, jadowitą pianą w ustach, a cudzoziemcom sprowadzonym do kraju też odpowiednie zdanie poświęca: „Taka jest moc jadowitej piany tych cudzoziemców, iż gdzie tylko jeden z nich wpadnie, cały dom zaraża; a potem wszystko do siebie garnie, wszystkiem samowolnie rządzi“...

W sąsiedztwie wyspy Balnabari znajduje się wyspa Pererada. Tam znowu wszyscy z powołania mówią. Dla wygody mowców „są pisarze mów i głosów z powołania, i są obszerne kramy, w których głosów w każdej materyi dostać można. Żeby je zaś łatwo do okoliczności przystosować, są pospolicie bez tytułu i mają tu i owdzie miejsca próżne. Kupujący nadaje im imię jako swojej własności, a w miejscach próżnych, czyli odstępach, kładzie podług potrzeby albo: Prześwietna

publiczności! albo, Prześwietny sądzie, albo J. WWW. WW. Mości Panowie! albo Szanowni koledzy! i t. d. jak z losu wypadnie. Niechże się na wyspie pokaże król, albo który z urzędników znaczniejszych, każdy sobie ma za powinność, ażeby go, gdziekolwiek spotka, mową powitał". Czyż trudno nie odgadnąć, że autor myśli tu o znanem polskiem gadulstwie? Ale nie dość autorowi tych spostrzeżeń podczas włóczęgi w państwie Laputy, do którego opisane wyspy Balnibari i Pererorada należą. Dostrzegł jeszcze nową właściwość, a to tytułomanię, ubieganie się za wykazaniem starożytności rodu, obrażenie się o to, gdy ktoś w zapomnieniu nie nadał w rozmowie odpowiednich tytułów, o które byle jaką drogą, przekupstwem lub postępem mieszkańcy się starają.

Po włóczęgach Guliwera, satyrach tylko z formy z angielskiego Swifta naśladowanych, zresztą zupełnie zastosowanych do własnych stosunków i prawdziwie sprytnie je omawiających, pojawiły się w Wiadomościach brukowych rozmaite pisma szubrawskie n. p. rozprawa p. t.: Co to jest rozum? rozprawka o publicystyce wileńskiej i o czytelnikach na Litwie, na których kilkakrotnie Śniadecki zwraca swą rózgę. Każdy człowiek inaczej czyta, przedewszystkiem zaś czyta tylko to, co z jego interesami związane, albo co jego próżną ciekawość może zadowolić. N. p. znowu „p. podkomorzy, p. starosta, cześnik, skarbnik, podczaszy; t. p. tych całkiem polityczne zajmują widoki. Urządzają świat, przenikają niezgłębione gabinetowe tajemnice, z najmniejszego napomknienia, z jednego słówka zgadują najskrytsze myśli ministrów".

To, że Tygodnik w Wilnie wychodził co dwa tygodnie, z powodu tego, że szczupła liczba abonentów uniemożliwiała wydawanie co tydzień, naprowadza Śniadeckiego na poważne refleksye: „Dopóty u nas ciężko będzie utrzymywać się peryodycznym pismom, dopóki tyle tylko będzie czytających ile piszących, bo to podobno jest nasz przypadek. Dlatego dobrzeby było, gdyby tymczasem niektórzy z tych ostatnich przenieśli się do pierwszej klasy. Powoli może nastaną czasy lepsze, może się liczba czytających pomnoży, może się nasza praca cokolwiek obrobi i ogładzi, a wiersze może nie zawsze będą bolesne..." i doskonałą daje odprawę wszystkim niepowołanym rymopisom, których bardzo wiele się namnożyło z powodu zwyczajowego ubierania mów, toastów, oracyi wszel-

kiego rodzaju, w szaty wiersza. „Zachodzi tylko jedna w tej mierze wątpliwość, to jest: że pomimo całej metryczności, trudno częstokroć rozeznać, czy wiersze są poezyą, czy prozą". W rozmowie wprawdzie przyjdzie to łatwo rozróżnić, skoro wiersze śpiewać się zawsze będą. Ale w druku wypada prosić Ichmość Wirtuozów, żeby zawsze na początku ostrzegli: czy pismo ich ma doprawdy być poezyą".

„Nieoszacowani Pegazowi jeźdzcy! pohamujcie proszę ten zapał. Skąd wam taka ochota do kawaleryi? Czy to zabytki dawnej skłonności? Zastanówcie się, że pradziady nasze nie z piórem w ręku konno dokazywały; a chociaż niektórzy i na skrzydlatych występowali rumakach, jak Jan i Piotr Kochanowski, ale to były rumaki dzielne, jakich nie każdy dosięże. Teraźniejsze zaś nasze pegazy, im się więcej mnożą, tem się więcej wyradzać i powszechnieć zdają. Niektóre nawet tak są odrażające, iż spojrzeć na nie bez obrzydliwości nie można. Wszelako nieoszacowani ich właściciele na wywłokach tych jeżdżą a jeżdżą. Możnaby się niemal lękać, ażeby po zejściu wielkiego Krasickiego, tudzież Trębeckiego i Węgierskiego, nie zaginął prawdziwy rodzaj skrzydlatych wierzchowców; ale nam Feliński, Woronicz, Karpiński i wielu innych, pewną czynią nadzieję, że ten piękny rodzaj utrzymają i następcom swoim nieskażony oddadzą".

Wszystko to żywe, jakby dziś pisane. Gdyby w dzisiejszych czasach taką odbyć podróż i obserwować nasze społeczeństwo, trzebaby może powtórzyć za Śniadeckim, wątpić tylko należy, czy zdobyć by się można na jego humor, dowcip i swobodę z jaką czyni swe uwagi. W następnych „Synonimach" zajmuje się zagadnieniem: co to jest człowiek słuszny, dostojny, godny, zacny, uczciwy, poczciwy. Autorowi zdaje się, że te wyrazy są prawie równobrzmiące, tymczasem gdy się bliżej przypatrzył światu i ludziom poznał, że ludzie podług kieszeni, koligacyi i stanu cenią wartość człowieka, że „człowiek prawdziwie słuszny powinien mieć cokolwiek dobrej tuszy... przystoi słusznym ludziom mieć wzrost piękny, brzuch dobry i nie próżną kieszeń... ostatni jest istotnym warunkiem słuszności, bo chudeuszowi ciężko się wykierować na słusznego człowieka. Człowiek słuszny jeździ karetą, nie wiele mówi, ale sentencyami, to jest krótko, z pewnością, powagą i miną nakazującą milczenie i wiarę, na niższych patrzy z góry, jest

zaś pokornym, najniższym sługą i nadskakującym względem wyższych. Człowiek słuszny nie ubiega się o urzędy, ale ma takich, którzy mu je gwałtem narzucają. Nie można być słusznym człowiekiem bez urodzenia i godności; bo jeszcze żaden lokaj, szewc, ani woźnica, słusznym człowiekiem nie został; wyjąwszy przypadek, gdy mają pieniądze i pożyczają... Za to służących i ludzi niższego stanu często nazywamy poczciwymi. Stąd się pokazuje, że człowiek słuszny wcale nie ma obowiązku być poczciwym... Człowiek uczciwy jest od słusznego o jeden stopień niższy, ale daleko wyższy od poczciwego... Na naszych eksdywizyach, zjazdach granicznych etc., całe zgromadzenie składa się z ludzi zacnych, słusznych i uczciwych. Poczciwi tam chyba przychodzą z obligami, lub w obronie od napaści. Ludzie poczciwi albo nie mają długów, albo je regularnie płacą. Uczciwi płacą niekiedy; starają się przynajmniej płacić procenta, a to w celu postąpienia na ludzi słusznych, bo ci albo wcale nie płacą, albo bardzo rzadko i to tylko dla ożywienia kredytu. Ludzie zacni i godni są wyżsi nad te wszystkie drobiazgi; wierzycieli swoich odprawiają z niechęcią, wzgardą i podziwieniem, że się u nich upominać śmieją". Synonimy kończy bardzo złym dla nas prognostykiem: „Ile wiemy z historyi, naddziady nasze były poczciwe. Po nich nastąpili ludzie uczciwi, jakich mamy obraz po wprowadzeniu elekcyi królów, św. pamięci ojcowie nasi już byli i bardzo zacni i słuszni ludzie. My nie chwaląc się, jeszcześmy dalej postąpili i w cywilizacyi i polorze. Co to będzie, jeżeli następcy nasi jeszcze się bardziej wymuskają i oświecą? Co za piękne widoki!"...

Juromania, to straszna i trudno uleczalna choroba srodze grasująca w Polsce w okresach rozbiorowych i za czasów Śniadeckiego. Dlaczego Polacy tak chętnie popadali w waśnie i z nałogowem uniesieniem szukali załatwienia tych spraw po sądach? Co przyjemnego znajdowali w pieniactwie, trudno dociec, to pewne, że juromania była wrzodem polskiego społeczeństwa i to tak dotkliwym, iż trzy rozdziały poświęcił prezes Szubrawstwa opisaniu tej choroby, nie nowej, jak powiada w nagłówku pierwszego rozdziału, ale ciężkiej, dotąd przez żadnego lekarza nie opisanej. Określiwszy okresy i komplikacye choroby, podaje jej przyczyny, jako to, niedostatek pracowitego zatrudnienia młodzieży, złe wychowanie, miłość ku-

flów, puharów wiwatowych i szklannic, która się nabywa, umacnia, doskonali na sądach granicznych i exdywizyach, na których się juromaniczna zaraza poczyna, doskonali i szerzy najmocniej. Po opisaniu choroby przytacza autor wynik sekcyi osoby zmarłej na juromanię: „Mózg nadzwyczajnie twardy i wysuszony. W miejscu zajmującem u Galla organ chciwości i złodziejstwa, są dwa ogromne kopce, które łączy szeroka, tu i owdzie przeorana miedza“. No, tu już trafił Śniadecki w sedno żyłki szlacheckiej, w procesy o spory graniczne, które w tradycyjnych opowiadaniach noszą w sobie to piętno zaciekłości, nienawiści, wzajemnej mściwości, dozgonnej walki dwóch sąsiadów, ba nawet całych sąsiadujących rodów. Określenie niby pośmiertnych oględzin mózgu takiego pana na swej miedzy, zupełnie dorównywa zaślepieniu szlachty, której tradycya doszła nawet do nas.

Leczenie zajmuje też lekarza rodzinnego społeczeństwa. Odrazu podoba mu się środek użyty gdzieindziej z powodzeniem:

W Rolandzie wyleczyły zawrót głowy srogi
Mało chleba, dość wody, a częste batogi.

Dochodzi więc do konkluzyi w podobny sposób. Chorych wysyła nad Don, ponieważ okoliczni mieszkańcy zwykli nosić za pasem sążniste nahaje. Tam należy pacyentowi golić głowę, trzy razy na dzień mocno dońską wodą zlewać, a potem, choć raz na tydzień n. p. co piątek dawać w przytomności całego consilium, przez jednego z członków po 50 dobrych kropel (kropla pochodzi od kropienia) specyfiku.

Potem nastąpił „Dziennik ostatniej podróży szlachcica na łopacie“, ponad tem atoli góruje znakomita część pism satyrycznych Śniadeckiego p. t. „Próżniacko-filozoficzna podróż po bruku, dzieło poważne“. Podobnie jak wszystkie świetne pisma satyryczne Śniadeckiego, „podróż po bruku“ powstała nie jako całość, lecz później została związaną w rozdziały, wychodząc w latach 1818 do 1821 w luźnych artykułach Wiadomości brukowych. „Podróż po bruku“ to ciekawy, cenny, wiarogodny dokument obyczajów, poglądów i życia wszystkich warstw społeczeństwa ówczesnego Wilna. A pisana ze stanowiska tak nienagannie dowcipnego, że śmiało młodemu człowiekowi chcącemu wykształcić się w literaturze satyrycznej,

należy polecić ją do stokrotnego czytania. Poza tem dziś i na długo jeszcze będzie służyła jako dzieło do czytania, sprawiając wrażenie pogodne i wesołe pobudzając równocześnie do różnych moralnych myśli. Śniadecki to myśliciel nawet w żartach, a pisarz tak wzorowy, jakby był zawodowym literatem i kształcił się w tym kierunku.

Pierwszy rozdział zaczyna się od pochwały próżniactwa i włóczęgi. „Nic nie masz przyjemniejszego, nic właściwszego, dla dobrze urodzonego i przystojnie wychowanego człowieka nad próżniactwo: skąd i przysłowie urosło, że chłop stworzony do pracy. Dorozumieć się należy: Pan do odpoczynku. Otoż ja, dzięki Bogu, jestem z tego względu pan nad pany; całą gębą pan; bo od rana do wieczora nic nie robię. Słyszałem, że Włosi są zupełnie mojego zdania i nazywają próżniactwo najwyższą rozkoszą „il delizioso non farniente“. Co pokazuje, że jakkolwiek narody pomiędzy sobą się różnią, prawda jest jedna na całym świecie. Ale na co nam próżniactwa we Włoszech szukać?... Natura bynajmniej nie upośledziła ani kraju, ani miasta naszego w tej mierze. Owszem, powiem bez przesady, żebyśmy śmiało i z włoskiemi miastami o pierwszeństwo iść mogli“.

I tu wylicza autor rozliczne sposoby próżnowania i zawsze dochodzi do wniosku, że to najwyższa przyjemność na świecie, dziwiąc się dlaczego uczeni tyle naukowych katedr ustanowili, a nie utworzyli nigdzie katedry próżnictwa, które aby było dobrze wykonanem jest kunsztem nielada. Dalej wylicza rozmaite typy próżniaków, ludzie ci nieraz i to często bardzo pracują, bo próżniactwo uczone bynajmniej pracy nie wyklucza i różni się zasadniczo od lenistwa, którem gardzi, jakoteż różni się od snu, który dawać rozkosz może tylko dzieciom, starcom i niedołęgom.

W rozdziale drugim zwraca się włóczęga do braci Szubrawców, napominając ich, aby swoje próżniacze zapędy zwrócili ku swoim, a nie szukali cudzych bogów dla zapełnienia pisma: „W. Panowie, Panowie koledzy, nazwaliście pisemko swoje Wiadomościami brukowemi. Żeby też w niem choć wzmianka o bruku! A przecież to powinien być skład wiadomości zebranych na bruku. Ale wyrodziliście się moi Panowie; odstąpiliście pierwiastkowego zamiaru; wałęsacie się po całym świecie; wszędzie was pełno, zwłaszcza po jakichś wy-

spach, których w żadnej geografii znaleść nie można. Bo przecież sam widziałem, jak się sędziwi, światli i dostojni ludzie męczyli z okularami na nosie szukając po mapach waszych wysp: Nipu, Balnibary i Porady. Bywacie w Chinach i Japonii, licho was nosi to na łopacie, to na stepie, to na miotle; a na bruku wileńskim ani weź. Za żadne was tam pieniądze nie dostanie. Krótko mówiąc, Panowie koledzy, nie lepsiście jak drudzy. Otóż ja was chcę koniecznie poprawić i do tej powinności zwrócić; nie nakazem, nie gwałtem, ale przykładem".

I daje spisany szereg wypraw, których owoce, to spostrzeżenia wszystkich wad i przywar wileńskiego społeczeństwa. Jak widać z powyższej odezwy do Szubrawców, Śniadecki po napisaniu „włóczęgi Guliwera" snać sam spostrzegł, że może o szczebel być doskonalszym, gdy swój humor zlokalizuje, z miejsca pobytu wprost pobierze wzorki, czyni więc uwagi zwracając je również i do siebie. W włóczęgach swych, jako próżniak-filozof, zachodzi wszędzie, gdzietylko wejść może, układa swe wrażenia w ład, powiew i kieruje się sympatyą dla ludu, dla uciśnionych, piętnuje natomiast, bezlitośnie biczuje wszystko co przewrotne, niskie, głupie lub nieuczciwe. Do najżywotniejszych, dziś tak samo obchodzących, jak spółczesnych kwestyi zaliczyć należy rozprawę o „Towarzystwie sentymentalnem" i „Ustawy dla Towarzystwa Literackiej Dobroczynności". „Towarzystwo sentymentalne" do surowej i szyderczej satyry, nawet do sarkazmu pobudza Śniadeckiego. Bo też prąd wybujałej czułostkowości u kobiet, w Polsce dał się dobrze we znaki. Pani taka, mająca synów, majątek, obowiązek wychowanie dzieci na ludzi pożytecznych dla kraju, umiejących przysporzyć majątku, zdrowiem żyć i zdrowie krzewić, pani taka brzydziła się wszystkiem, co surowe, proste, co nazywa się gospodarstwem, czytywała bajeczne, słodkie i tkliwe romanse, wzdychała do urojonych, a często istotnych kochanków, poświęcała wszystkie myśli i czas blichtrowi, upiększeniu siebie i domu, szykowi i formom. Prąd taki z dworów Ludwików we Francyi przeszedł w bogate towarzystwa, zwyczajny ceremoniał dworski zmienił się odpowiednio do interpretatorek w cały kodeks najdziwaczniejszych form i przepisów towarzyskich, chimerycznych i przeładowanych drobnostkami zupełnie odpowiednio do stylu „roccoco" takie piętno

na owej epoce wyciskającego. Śmieszne i nierozumne te formy nie znajdując u praktycznych niemców poparcia, przedostały się do Polski może w tej barwie, jak we Francyi egzystowały, jednak pochwytane przez rozmaite panie przybierały nieraz formy wprost głupie, mieszając się z nudno-tkliwą czułostkowością kobiet, w niej najwyższy wyraz dobrego tonu znajdujących. Śniadecki nie był pierwszym, który wyśmiał tę importowaną naleciałość; sentymenta i wzdychania ubrane w cały szereg sztucznych zwyczajów, nie szczere pozowanie na nieszczęśliwe, kobiet mających zupełne warunki szczęścia; przesadzanie w uczuciach i pokrywanie wszystkiego mgłą niejasnych pragnień, otaczanie się zbytkiem bajecznie kosztującym i okraszające to wszystko próżniactwo, dawało wielu autorom pohop i sposobność do ironicznych satyr, jak Krasickiemu, Niemcewiczowi i innym. Śniadecki o tyle poszedł naprzód, że oburzył się na te zwyczaje ze stanowiska społecznego. Pod płaszczykiem czułostkowości i tkliwości widział dumę, głupotę, obłudę, złość, zazdrość, to wyśmiać musiał, ale i oburzał się na myśl, że te wszystkie kobiety są stracone dla rozwoju kraju, że są złem ziarnem, które wyda złe owoce. Szkody więc, jakie ta wada w Polsce wyrządziła są nieobliczalne, szyderczy śmiech Śniadeckiego jest słuszną chłostą, zasłużoną, chociaż niezmiernie lekką karą.

Włóczęga-filozof usłyszawszy, że w mającym się założyć Towarzystwie sentymentalnem otworzy się miejsce sekretarza, dlatego, że żadna z dam pisać nie zechce, postarał się o tę posadę i gdy po długich przeszkodach Tow. sentymentalne zebrało się, czekał w garderobie, aż zgromadzone panie wejść mu pozwolą. Tymczasem słyszał rozmowę o sobie, trwożono się mianowicie, że kandydat na sekretarza może je wyśmiać. Zgodzono się wreszcie, że będzie on pełnił służbę do czasu, aż nadejdzie z Paryża atrament pachnący, nie walający palców i czytelny tylko dla członków Towarzystwa. Potem wprowadzono sekretarza, który zrazu osłupiał na widok piękności, powabu, wytworności i smaku zgromadzonych, dusił się atmosferą przeładowaną tkliwością. Silił się sekretarz aby to opisać i tak opisuje pierwsze chwile pobytu między damami wielkiego świata: „Szczerze ci powiem czytelniku kochany, że gdyby sobie niewiedzieć jak głowę łamać, to tego nie opiszę i dalibóg nie wiem co to było. Zdawało mi się,

jakoby rozpuszczona w powietrzu najczystsza tkliwość składała atmosferę zgromadzenia i była jego żywiołem. Nią oddychało wszystko. W niej pływały członki towarzystwa, jak pączki w maśle. Wstępując w ten przybytek wytworności i rozkwilenia, w tę świątynię wykwintnego smaku, postrzegłem albo raczej poczułem w sobie niesłychaną i niepojętą odmianę. Zdawało mi się, jakobym wszystkie grube i prostackie części mojej istoty za drzwiami zostawił. Wprowadzony, wpadłem w zachwycenie prawdziwe, rozumiałem szczerze, że jestem na polach Elizejskich; dziwno mi tylko było, jakiem się tam dostał bez spotkania się wprzód ze starym Charonem i z owym przeklętym Cerberem"...

„Skorom ochłonął, Klimena", u której właśnie zgromadzenie się odbywało, „wskazała mi palcem moje miejsce... po czem ładna prezydująca wyłożyła mi w krótkości moje obowiązki. Np. Żebym przed każdem posiedzeniem wziął kąpiel i odmienił bieliznę. Żebym się zlał całą flaszką wódki kolońskiej. Żebym nigdy nie wchodził do zgromadzenia w bótach, ale w trzewikach i jedwabnych pończochach. Żebym natychmiast porzucił mojego krawca, który jest oczywiście stary pedant bez najmniejszego smaku. Żebym się na posiedzenie nie pokazywał inaczej, jak we fraku najnowszego kroju, a to podług paryskiego „journal des modes", którego wybornego pisma Towarzystwo trzyma 15 egzemplarzy, dla rozszerzenia w kraju poloru i światła".

Tem podobne uwagi skrępowały sekretarza, po czem przystąpiono do porządku. Zaznaczono przedewszystkiem, że Towarzystwo sentymentalne zakładają panie celem wspólnej obrony przed grubiaństwem mężczyzn, celem wspólnej rady i pomocy w przedmiotach tyczących się mody, wykwintu. Językiem obowiązującym jest język francuski. Rys takiego programu podano sekretarzowi do szczegółowego wypracowania, był on jednak tak śmiałym, że cały ten program podał do publicznej wiadomości w Wiadomościach brukowych.

Wstęp zawiera uzasadnienie i określenie potrzeb takiego towarzystwa. Zamiarem towarzystwa będzie: „ozdobienie, ulotnienie i wystruganie umysłu aż do przyzwoitej lekkości", gdyż „umiejętności suche i nudne" zostaną dla mężczyzn. Należy „wytępić barbarzyństwo i gotyzm w myślach i uczuciach, a podnieść sentymentalność, rozrzewniać serce, a umysł

podnieść aż do sfery dla dusz grubych niedostępnej". Drugim celem będzie „ozdobienie się i przymilenie zewnętrzne", a przeto połączenie najwyższej przyjemności z największą nauką".

Teraz następują szczegóły programu wyrażone w artykułach, z których niektóre są tak znakomite, acz złośliwe i uszczypliwe, że warte są przytoczenia.

„Art. III. Nie przyjmuje się do towarzystwa żadna osoba, która się zatrudnia brudnem gospodarstwem; jeździ na kontrakta dla interesów; po folwarkach się szasta, lub odbywa drogi dla spraw jakich. Z tej przyczyny, gdyby którejkolwiek z członków dowiedziono; że była choć raz w spiżarni lub kuchni, że wie, wiele ma indyczat lub kurczat, albo, że słuchała ekonoma rachunków, ma być oddalona natychmiast. Zatrudnienia albowiem takie przytępiają prawdziwą tkliwość i są przeciwne czystej sentymentalności".

Art. VI. „Nie będzie przyjęta żadna osoba nie umiejąca po francusku, nie mówiąca najlepszym akcentem; a zatem żadna nie przez Francuskę wychowana".

Tu rozwinęła się dyskusya o możliwości używania języka polskiego, bo tylko tym językiem można by pouczyć kobiety przez nieszczęśliwe stosunki skazane na pracę około domu, męża i dzieci i namówić je do uczenia się cywilizowanego języka francuskiego i przejęcia się zasadami Tow. sentyment.

Art. VII. „Przez wzgląd na rozmaite zasługi i postępek w sentymentalności będą w towarzystwie rozdawane miejsca i stopnie. Do tych nadaje prawo każdy dowiedziony akt nadzwyczajnej czułości lub rozrzewniającej miłosnej ofiary. Ażeby zaś doskonalić coraz mocniej tę piękną cnotę, obowiązują się członki dobrowolnie zachować następujące przepisy.

1) Czytać będą jak najwięcej tkliwych i czule napisanych romansów, powieści, tragedyi i listów rozrzewniających...

2) Będą unikać wszelkiej pracy i fatygi; odpoczywać miękko i czule na łóżkach, sofach i miękkich kanapach; a to w negliżu do godziny czwartej popołudniu.

3) Gotowalnia ma być staranna i uczona od godziny czwartej do szóstej.

4) Obiad być powinien w najlepiej dobranej kompanii, równie jak wieczór i herbata.

5) Napoju zaś tego używać będą członki bardzo obfi-

cie i przepędzą resztę wieczora przy muzyce i paleniu wonnych spirytusów po wszystkich pokojach, w towarzystwie czułej i przedziwnie wychowanej młodzieży.

6) Pójdą spać o drugiej lub trzeciej po północy, a wstawać będą o dwunastej z rana.

7) Zachowają najściślej ochędóstwo uczone; to jest ubierać się będą lekko i przeźroczysto, napawać najwonniejszemi perfumami, dobierać strojów mających sentymentalne znaczenie lub nazwisko i tkliwe kolory.

8) Nakoniec mają wychowywać dzieci, a mianowicie dziewczęta, sposobem całkiem sentymentalnym; chować je delikatnie, z wielkiem staraniem o białość i miękkość skóry, o piękność włosów i kształtną kibić... Mają trzymać dla nich Madamy francuskie oczytane i sentymentalne, ile być może. Te będą wcześnie wpajały w dziewczęta gust do francuzczyzny i wszystkiego zagranicznego, a malować żywo grubijaństwo i nieoświecenie nasze".

Art. XI. „Ponieważ się znajdują i pomiędzy mężczyznami tacy, którzy z delikatności uczuć i myśli są podobni do kobiet i warci być niemi; przeto zgromadzenie nagradzając krzywdę, którą im przyrodzenie wyrządziło, podejmuje się przyjmować takich do swego grona, gdzie jeśli wytrzymają potrzebne próby, wezmą pátent na prawdziwe kobiety i od tego momentu będą mogli używać ich przywilejów i zaszczytów".

W taki to sposób ułożone zostały statuta zgromadzenia, zaś z zacytowanego ostatniego artykułu skorzystał Sotwaros aby i mężczyznom żyjącym w podobny sposób, jakich wielu zwłaszcza między bogatszymi ludźmi spotkać było można, odpowiednią „łatkę przypiąć" i w ten niezrównanie humorystyczny, niemal pełną prawdą tętniący sposób, zostawić piętno niemoralnego upadku i nędzoty duchowej. Rozwija więc w dalszym ciągu, że do towarzystwa będą przyjmowani młodzi ludzie wychowani za granicą i nie umiejący po polsku, posiadający tkliwą duszę, obdarzeni gustem i polorem, sypiający w dzień a bawiący się w nocy, trzymający kucharzy francuzów i kamerdynerów tej narodowości, zostawiający podłe gospodarstwo ekonomom, a sami żyjący po pańsku w świecie, wreszcie „młodzież ubierająca się zawsze podług ostatniej mody, wyperfumowana, ładnie tańcująca, czytająca

romanse, a uciekająca od nudnych nauk i nieznośnego bakalarstwa".

Z „próżniacko-filozoficznej podróży po bruku" możemy wyczytać drugi podobny traktat, w którym nie zadowala się autor błyskotliwymi dowcipami, które możnaby wyjąć z tekstu i z osobna zużytkować dla samego dowcipu, ale w pewnym ciągu, prowadzony przewodnią myślą wyszukiwania tkwiącego złego w społeczeństwie, rozwija historyę wyśmiewaną i w opowiadaniu wypadków i przedstawieniu ludzi ustawicznie trąca o słabe lub niemoralne strony przedstawianego przedmiotu, rozsiewając trafne porównania, humor, mistrzowskie nieraz zwroty, w których jednem słowem ośmiesza i wyszydza.

Takim analogicznym, do artykułu o „Towarzystwie sentymentalnem" jest rozdział pod tyt.: „Osnowa ustawy dla Towarzystwa Literackiej Dobroczynności, która chcącym a nie mogącym czytać dopomoże, niechcących zachęci i przywabi". Zamiarem towarzystwa będzie zachęcanie, wprawianie, dopomaganie do czytania druków, zwłaszcza krajowych jako najmniej czytanych. Towarzystwo wystawi i przysposobi osobny gmach, temu jedynie poświęcony celowi, gmach ten będzie się nazywał czytelnią, będzie zaopatrzony w obszerne i wygodne sale, a nadewszystko w dostatnią i dobrze uposażoną spiżarnię i piwnicę, w należyty kredens i kuchnię obszerną i potrzebną usługę.

Art. VI. Ażeby zaś imię „czytelni" przechodzących nie odstraszało, zawiesi się osobne ostrzeżenie na tablicy za kratką: Że się tu daje jeść i pić za lekkie czytanie.

Oprócz komitetu zawiadującego gmachem Towarzystwa Literackiej Dobroczynności, będzie oprócz tego w czytelni szafarz, piwniczy, dwóch lub więcej kucharzy, kredencerz i bibliotekarz z pomocnikami.

Art. XIII. Będzie ułożona przez bibliotekarza i komitet tabela dzieł i przeznaczonych za ich czytanie nagród, które mają być w ogólności takie:

1) Z samego rana podług ważności stanu i gustu czytelnika, polewka winna, albo grzane piwo, kawa lub herbata, a za przekąski grzanki, chleb z masłem lub sucharki.

2) O godzinie jedynastej śniadanie, to jest, podług zwyczaju krajowego; wódka i to dobra kminkówka, albo gdańska ze złotemi listkami, robiona na Rudnickiej ulicy. Przy

niej ser zielony, śledzie, kawior, szynka, ozór i rozmaite wędzonki.

3) Nie wolno wszakże będzie pić więcej wódki nad jeden kieliszek; chybaby kto dowiódł, że czytał od samego rana dzieło pracowite, albo, że zrozumiał choć cokolwiek takie, którego nikt zrozumieć nie może, naówczas wolno będzie wypić i dwa dla posiłku.

4) Przekąska także będzie stosowna do zasługi w czytaniu, co sam bibliotekarz z tabeli oznaczy. W przypadkach wątpliwych, lub gdyby czytający wymagał czego nad przepis, komitetowi pytanie do rozwiązania przeszle.

5) Obiadu w czytelni nie będzie, lecz dla potrzebnych a pilnie czytających, może być dany zraz pieczeni.

6) Po obiedzie zaś, będą rozmaite posiłki i rzeczy orzeźwiające, jakto: wina, piwo dubeltowe i kalteszan; wieczorem zaś poncz, który zakończy całodzienną pracę".

Że dopiero w takich warunkach znalazłby się w Polsce zapał do czytania, to z pewnością. Oj, bo ciężka to rana naszego niepoprawnego narodu. Jak było za Śniadeckiego, prawie bez zmiany i dziś się dzieje. Uczeni zniechęcają się, przestają pracować, talenta literackie marnują się, z powodu jedynej dziennikarskiej pracy, która zarobek dać może, a to dlatego, że za czytanie nikt nic nie da. To też abstynencya od czytania, a więc kupowania książek panuje do dziś dnia w całem tego słowa znaczeniu, pokup na książki stoi w śmiesznie nieproporcyonalnym stosunku do olbrzymiej ilości tak zw. inteligentnych ludzi w Polsce, u nas niewielu takich ludzi istnieje, którzyby rozumieli, że w miarę obfitego czytania poleruje się i doskonali rozum i spryt człowieka, że dobrobyt nie z ziemi ani sklepu pochodzi, ale z głowy. A może na naszą pociechę takich wreszcie się zwolna namnożyło, lenistwo atoli narodowe nie dozwoliło jeszcze, aby książki były zakupowane, lub przechodziły czytane z rąk do rąk. Satyrą tą wymierza Śniadecki grot w samo serce narodu, ostrze jego pióra ugodziło ambicyę polską, a ponieważ ustawy dla Literackiej Dobroczynności i dziś i nie daj Boże na długo, będą miały aktualną wartość, należałoby raz jeszcze odbić je w druku w tysiącach egzemplarzy i rozrzucać między tak zw. inteligentną ludnością każdego miasta i każdego dworu.

Ciągnąc dalej rzecz, pisze Śniadecki, oprócz biblioteka-

rza będzie istniał nowożytnik na wzór starożytników i ten będzie tłumaczył nowo wynalezione słowa w świeżych wydawnictwach. Oprócz tego ma nowożytnik „dawać maleńki kurs wszystkich, niby nowych od sąsiadów, a po części i małpowanych wynalazków w sztuce pisania, mianowicie metryczności i romantyczności a mianowicie pisania i tłumaczenia genialnie, to jest, jak to często bywa, bez rymu i sensu".

Jak z powyższego widzimy, o romantyczności wspomina Śniadecki nie tylko ironicznie, lecz także z lekceważeniem, nawet z pogardą. Jeśli nie uwzględnimy warunków, w których autor się wychował, zdziwićbyśmy się mogli z powodu ignoracyi prądów uwiecznionych po wszystkie czasy dlatego, że zrodziły nie tylko w świecie w ogólności, ale w szczególności w Polsce pierwszorzędnych wieszczów z Adamem Mickiewiczem na czele. Moglibyśmy powiedzieć, w jakiż sposób można się na tem nie poznać. Jednak skoro przypomnimy sobie, że zasady i podstawy nabyte w młodości utrwalają ducha ludzkiego do końca życia i że młodość Śniadeckiego mężniała w epoce wprawdzie też przed romantyzmem, lecz może dlatego właśnie tem silniej tętniącej klasycyzmem i tak zwanym pseudoklasycyzmem, skoro uprzytomnimy sobie, że ukochany brat i od młodości dobrodziej Jędrzeja, starszy Jan Śniadecki tych samych był przekonań, a może rozbudzał w Jędrzeju owo lekceważenie nowych haseł, wówczas zrozumiemy, że nikt nie może być wszechwiedzącym, tem mniej nie może posiadać zdolności proroczych.

Obaj tedy Śniadeccy czynnie wystąpili przeciw romantyzmowi, nie przeczuwając, że już w murach uniwersytetu istniał nieśmiertelny geniusz Adama. Zwłaszcza Jan, rektor uniwersytetu, wywołał wiele dysput i hałasu swą broszurą „o pismach klasycznych i romantycznych" z powodu artykułu Kazimierza Brodzińskiego w „Pamiętniku Warszawskim" w r. 1818. Tak samo jak Jędrzej, tylko znacznie obszerniej i więcej otwarcie odsądza Jan romantyzm od praw bytu, nawet pomawia te zasady o dekadentyzm swego rodzaju, zgniliznę moralną itd.

Romantyzm w jego pojęciach jest rzeczą niebezpieczną i dla młodych głów szkodliwą, gdyż „kocha się raczej w dzikiej, niż przyozdobionej sztuką naturze". W przeciwieństwie do takiej poezyi nazywa klasyczną tę, która zgodną jest z prawami poezyi „jakie dla Francuzów Boileau, dla Polaków Dmo-

chowski, a dla wszystkich wypolerowanych ludów napisał Horacy". „Zdaje mi się więc", powiada żarliwy obrońca dogmatów klasycznej sztuki, „że radzić ludziom na sztukę pisania imaginacyę rozpasaną bez wodzy i prawidła, prawie na jedno wychodzi, co przepisać rozpuszczone namiętności za prawidło życia moralnego i zrobić świat tak umysłowy jak towarzyski, polem gwałtu i spustoszenia". W innem miejscu „uciekajmy od romantyczności, jak od szkoły zdrady i zarazy. Romantyczność radzi porzucić wszystkie prawidła sztuki, odrzuca doświadczenie, burzy imaginacyę przeciwko rozumowi i zapala jak wojnę domową między władzami człowieka, podczas gdy najpiękniejsze twory ludzkiego umysłu, są to dzieci pokoju"...

Obaj bracia byli tu idealnie zgodni... Atoli Jędrzej odmiennej, sobie właściwej użył broni, Jan oburzał się, Jędrzej wyśmiewał. Widzimy to już w owej notatce przy omawianiu ustaw dla Towarzystwa Literackiej Dobroczynności, kiedy mówi o mianowaniu tłumacza dla „romantyczności, a mianowicie pisania i tłumaczenia genialnie, to jest, jak często bywa, bez rymu i sensu".

W drugiem miejscu puszcza wodze szorstkiej ironii w rozdziale zatytułowanym „Wyprawa na wieś". W niej występuje przeciwko apoteozowaniu i wynoszeniu rzeczy błahych lub niskich, które nabierają uroku jedynie w głowach nadzianych fantastycznością. Powodowanym zaś do tej wyprawy jest dlatego, że „sławni pisarze nasi nie tylko opiewają oświecenie wieku, w którym żyjemy; ale wszyscy jednogłośnie wychwalają piękność natury". Wybrał się też na wieś, chociaż wśród drogi oglądał się ustawicznie na miasto. Przed sobą nie miał nic ciekawego, krom spokoju, to też „nie zaraz przyszło na myśl, że to jest podług wszystkich *romansistów* rzecz bardzo piękna". „A że dzień zaczynał być gorący; więc zaziajany musiałem przez czystą miłość *romantyczności* i pięknej natury, usiąść pod górą na gorącym piasku; gdzie tak rozmyślać począłem: Dalibóg tu wszystko piękne! Przedemną mruczy po kamieniach spadająca woda; za wodą łąka, a na niej gęsi i gąsięta. Dalej gaj, a w nim rozkwilający głos słowika. Szkoda, że nie jestem poetą! Tu drab bosy i po kolana w wodzie dybie z wędką w ręku, ażali się nie uchwyci kiełbik lub płoteczka. Tam znowu za górą ryczy bydło, kraczą wrony, szczekają psy, kwiczą wieprze i prosięta, a beczą owce, tu zaś pod

górą siedzi na piasku filozoficzny próżniak i dziwi się tej piękności natury. Przyznaj czytelniku, że to jest zachwycający obraz! i powinienby którykolwiek znakomity malarz wziąć tę osnowę do zawieszenia na ścianie i dania materyi do długich rozpraw w naszych chudych peryodycznych pismach".

„Napasłszy się nareście tak pięknym widokiem i nakarmiwszy romantycznemi myślami"... poszedł dalej, lecz rozczarowanie go spotkało. Przypatrzył się wsi z bliska i ujrzał nędzę, ciemnotę, brud, niechlujstwo, prostactwo, słowem wszystko, co odwodzi od poezyi. Wreszcie po kilku przygodach, przemoczony do nitki skutkiem ulewy, powrócił do domu, przekonany, że pisarze nowej szkoły nie wiedzą, o czem piszą: „Przyznaj czytelniku", kończy swą wyprawę na wieś, „że na wsi natura jest piękna! Mówi za tem powaga tylu znakomitych pisarzy, mówi powszechna opinia, gatunek sędziego, który się nigdy nie myli i ja z doświadczenia tak mówię".

Nieprzyjaźń, a poniekąd nienawiść wyznawców klasycyzmu, względem nowych prądów romantyzmu była jak wiemy nieuzasadnioną i niefortunną, ale równocześnie była objawem słabości klasycznego obozu. Śniadeckiemu zaś bardzo chętnie powinniśmy tę słabość przebaczyć, ponieważ mamy do tego podstawy i poza jego osobistem stanowiskiem, w tem mianowicie, iż w tych czasach romantyzm stawiał pierwsze chwiejne kroki.

Zdanie prezesa Szubrawców podzielała jednogłośnie jego drużyna. To też było przyczyną, że wkrótce, gdy pisarzy nowej szkoły ludność odczuła sercem, podniecona prostotą, polotem nowych tworów romantyzmu, zaczęto ze wszech stron naciskać Szubrawców. Szubrawcy trwali niewzruszenie przy swych zasadach, lecz wreszcie wyczerpali się, nie znajdując w sobie i swej zamkniętej garstce pomysłów do dalszego bezstronnego rzucania myśli i morałów na karty Wiadomości brukowych. Zrazu zwolna, lecz później coraz częściej rzucali się na szczególne osobistości, wbrew przyjętym zasadom. Jeden jedyny Śniadecki do ostatka wytrwał w swych kierunkach chcąc dać przykład swej gwardyi, pod jakiem hasłem zwyciężyćby mogli. Bez wyjątku wszystkie jego pisma Szubrawskie noszą cechy przedmiotowego traktowania satyry. Atoli on jeden nie starczył za wszystkich, powaga jego osoby i znakomite bezprzecznie talenta literackie nie mogły powstrzymać

coraz to szerzącej się niechęci do pisma zbyt niekiedy śmiałego i uszczypliwego, niechęci podtrzymywanej przez młodzież. W ten to sposób niemiły nader los czekał stowarzyszonych; skazani byli, a raczej wszystko składało się na to, że musieliby ustąpić z pola. Napróżno bronił Śniadecki towarzyszy i swego pisma, umieściwszy jego obronę w „Lamencie i raporcie szlachcica na łopacie", przestarzałe pojęcia wobec literatury i sztuki najsilniej podziałały na publiczność i już byłyby Wiadomości brukowe (a z niemi Szubrawcy) rozpoczęły konanie, gdyby wycieczka osobista a dotkliwa przeciwko jakiejś powadze, w rządzie mającej stanowisko, nie spowodowała zabójczego ciosu. W czerwcu 1822 r. wyszedł ostatni numer Wiadomości brukowych, albowiem wydawnictwo ich władze zawiesiły. Skoro Wiadomości wychodzić przestały, towarzystwo Szubrawców nie miało racyi bytu, rozprzęgło się i pozostawiło po sobie wspomnienie bardzo przychylne i szczęśliwe, dzięki tak świetnym początkom i dzięki osobie wileńskiego profesora, który okrasił ideały towarzystwa nie tylko wspaniałym dowcipem, ale silną wolą, rozumem i świadomością celu. Nie jego wina, że ideałów z braku świeżych porywów dotrzymać i dopełnić nie umiano; on wytrwał.

To też jego osoba zgoła nie ucierpiała. Rósł dalej jak od pierwszej młodości w zasługi, poważanie i godności, a popularność w Wilnie miał tak szeroką, że sława jego, zwłaszcza dowcipy podawano z ust do ust. Karol Kaczkowski w swych „Wspomnieniach" podaje jedno z takich zdarzeń obiegających miasto całe, a cechujących niespożyty humor Śniadeckiego. Żył w tych czasach w Wilnie felczer Maryański, pomocnik i golibroda Śniadeckiego, człowiek niezmiernie komiczny, pozujący na uczonego i zwolennik łaciny, jako języka szaremu ogółowi niedostępnego. Atoli sam Maryański łaciny nie znał. Maryański podobnie jak Śniadeckiego golił doktora Szymkiewicza. On to, wysłuchawszy pewnego dnia raportu Maryańskiego o jakimś beznadziejnie chorym pacyencie, dodał następnie z rozmyślnym naciskiem: „Nic dziwnego, przecież Hipokrates wyraźnie twierdzi: neminem captivabimus nisi jure victum, co znaczy: nic tam sztuka nie poradzi, gdzie natura odmawia pomocy".

— Jak, jak, panie konsyliarzu? — z pośpiechem za-

pytał Maryański — jak się wyraził Hipokrates? — To warto zapamiętać tak ważną sentencyą.

Szymkiewicz powtórzył mu raz jeszcze cytatę łacińską, z którą uczony felczer pospieszył do Śniadeckiego i goląc mu brodę, opowiedział cały przebieg choroby swego pacyenta, by w końcu z westchnieniem żałośnem zauważyć: „Cóż robić? Neminem captivabimus nisi jure victum — jak mówi Hipokrates“...

— To pewnie Szymkiewicz nauczył cię tego? — zapytał Śniadecki golibrodę z niewzruszoną powagą.

— Tak jest panie profesorze — odparł Maryański. — Konsultowaliśmy razem nad tym wypadkiem, a że on wie, jak ja chciwie chwytam łacinę, szczególniej gdy się do mojej nauki stosuje, przytoczył więc, co w takim razie Hipokrates utrzymuje.

— Kiedyż bo ten Szymkiewicz, jak się wczyta w jedną kartę — przerwał mu z afektowaną niecierpliwością nasz profesor — to dalej nie spojrzy, a przecież tamże, trochę dalej jak wół wypisane stoi: Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur, to jest, iż w najgorszym wypadku wizykatorya położona na karku, oddala niebezpieczeństwo...

Trafiło to powiedzenie do przekonania Maryańskiemu i zapisawszy sobie troskliwie dopieroco zasłyszaną sentencyę, ruszył co rychlej z powrotem do Szymkiewicza.

— Czy masz co nowego? — zagadnął przybyłego.

— Bynajmniej panie konsyliarzu — odrzecze z tajemniczą miną felczer. Ale gdy mi nie wychodzi z głowy ten biedak, o którym pan zawyrokował: Neminem captivabimus nisi jure victum, to pozwolę sobie, bo tu idzie o życie człowieka, przypomnieć panu konsyliarzowi, drugą radę Hipokratesa: Concordia parvae res crescunt, discordia maximae dilabuntur. Możeby się jeszcze to dało ze skutkiem zaaplikować...

— A cóż to znaczy po polsku?

— W najgorszym wypadku wezykatorya położona na karku oddala niebezpieczeństwo — recytował z całem namaszczeniem golibroda.

— Pewnie ci Śniadecki przypomniał ten aforyzm. Szalona pamięć u tego człowieka — zakonkludował Szymkiewicz. — Rzeczywście zapomniałem o tem, ale w tym wy-

padku, to ci się na nic nie przyda, bo twój chory, pewnie Bogu ducha oddał...

Maryański sam po Wilnie rozniósł wiadomość o tem zdarzeniu. W lot to pochwycono, a żartom końca nie było.

VII.

Pióro Sotwarosa rozpędziło się niemal nie do powtrzymania. Przez cały okres istnienia, a raczej w okresie, w którym stanął na czele Szubrawstwa, aż do upadku tego towarzystwa. — Sotwaros wreszcie za zasługi Rejem nazwany — rąbał, siekł, wyśmiewał, a pisał z takiem zacięciem, że niczemu innemu zresztą poza obowiązkami zawodowymi nie mógł się oddać. I dopiero upadek Szubrawstwa w r. 1822 obudził w nim na nowo lekarza myśliciela. Wówczas wrócił do prac czekających w pracowniach. Wówczas przeglądał spoczywający materyał i wybrał do opracowania jeszcze w r. 1805 w „Dzienniku wileńskim“ drukowaną pracę „o fizycznem wychowaniu dzieci“. Rozmach w kierunkach społecznych przedsięwzięty, popęd do wszechstronnej służby publicznej, jak zagnał go do humorystyki, obyczajność i moralność społeczeństwa mającej na względzie, tak nie rychło mógł go opuścić. Praca dla pożytku matek, dla wychowania dzielnej młodzieży, szczególnie nęciła teraz wzorowego obywatela. Przeglądnął ów traktat, uznał, że jest zbyt pobieżny, przytem ogrom doświadczenia nabytego, poczucie, że to co pisze ma wartość prawdy, zniewoliło go do ponownego opracowania niniejszej rozprawy.

Aby ona celu dopięła, by stała się niezbędnym poradnikiem i podstawą kierującą wychowaniem młodzieży, nie układał tego pisma, jak twierdzi w przedmowie, dla uczonych z powołania, lecz chciał dać ją w ręce dobrym ojcom i rozsądnym matkom, a nawet „niech to ich nie obraża i rozsądnym mistrzom młodzieży naszej, których pospolicie guwernerami nazywamy“. „Uważam ja oddawna“, pisze Śniadecki, „nasze wychowanie młodzieży, tak domowe jako i publiczne za niedoskonałe z tego względu: iż, zajmując się jedynie kształceniem umysłu i naładowaniem młodych głów nauką, mało częstokroć w dalszem życiu przydatną, zaniedbujemy siły ciała i zdrowie“.

I przystąpiwszy do pracy stanął na stanowisku szerokiem, ponieważ wykarmienie dziecka i należyte utrzymanie go w pierwszych latach życia nie stanowi wychowania i bodaj czy wiek młodzieńczy nie przedstawia więcej trudności dla opiekunów, niż niemowlę dla matki. W początkach trzeba wychowywać tylko ciało, później ciało i duszę. To też wszystkie podstawy Śniadecki uwzględnił, nie tylko rady i pomoc dla matek była jego przewodnikiem, obywatel i opiekun społeczeństwa przez niego przemawiał tak rozumnie, z tak prostem a głęboko zrozumianem założeniem, że późniejsze prace słynnego angielskiego ekonomisty i filozofa Herberta Spencera jakoteż wiedeńskich autorów, fizyologa Brückego i psychiatry Mauthnera prawie poglądami się nie różnią, mimo, że kilkadziesiąt lat postępu ludzkości dzieli tych obcych autorów od chwili wydania dzieła wileńskiego profesora.

Szerokie swe poglądy rozwinął autor w następujących rozdziałach, wybitnie świadczących o programie przechodzącym miarę zwykłego poradnika:

a) na co należy mieć wzgląd przy kojarzeniu małżeństw;

b) o zachowaniu się niewiast brzemiennych;

c) hodowanie niemowląt;

d) hodowanie dzieci po odłączeniu, aż do końca siódmego roku;

e) wychowanie dzieci po skończeniu roku siódmego, czyli po wyrżnięciu się stałych zębów;

f) wychowanie dojrzewającej młodzieży;

g) wychowanie dzieci z urodzenia słabych lub niedołężnych.

Świetnym przykładem wartości dzieła „o fizycznem wychowaniu dzieci“ jest zagajenie poprzedzające wymienione rozdziały. W tych wierszach maluje się wszystko, co autorem powodowało. Miłość ludzi, mądra i zacna prostota, zdrowe pojęcia o wartości i przeznaczeniu człowieka. Autor powodowany temi podstawami, tłumaczy się wobec czytelników, dlaczego pisze i uważa za potrzebne swe doświadczenie podzielić z ogółem ojców i matek. Wychowanie dzieci z dawna zajmowało światlejsze umysły, wiedziano już w starożytności, że pewien system wychowania wydaje pewnych ludzi, filozofowie obmyślali zasady, według których chcieli wychowywać ludzi na mędrców, to na rządców państw lub urzędników, to na oby-

wateli ułożonych według myśli i potrzeby rządu. Autor powodowany przyjaźnią dla ludzkości zamierza mówić o wychowaniu zdrowego człowieka, bez względu na warstwy i stany ludzi. Aby to osiągnąć trzeba iść zgodnie z prawami przyrody. Wychowaniem nazywa umiejętność wydobycia, rozwinięcia i wydoskonalenia wszystkich tych władz, jakie człowiekowi dała natura; jest to zadanie mozolne i trudne, wymagające uwzględnienia strony fizycznej, moralnej i intelektualnej dziecka. Mnóstwo niepowołanych i pseudolekarzy plecie bezsensowne androny i znajdują posłuch może dlatego, że pozują na mędrców wygłaszając niezmienne dogmaty o wychowaniu. Wpływ takich pedagogów nieznających natury człowieka, jest tak wielki, że ulegają tym nie tylko matki i ojcowie rodzin, ale szkolnictwo i wychowanie publiczne.

Śniadecki nie chce być Lykurgiem, jakkolwiek kalectwo i niemoc nazywa największem nieszczęściem człowieka. Atoli takich ludzi wytępić nie chce, bo znajduje wiele środków zmniejszyć mogących całe zastępy słabych i wątłych ludzi. Rozumne wychowanie może wielu nieszczęściom zapobiedz, a chociaż słabych prawideł w wychowaniu trzymać się pod żadnym względem nie można, nie należy się nigdy wyrzec myśli i nauki o wychowaniu. „Każdy kraj, społeczeństwo, rodzina, nieledwie dom każdy“, mówi Śniadecki, „ma swoje własne wychowanie, które więc z nich jest najlepsze? Na to pytanie trudno znaleść odpowiedź, którąby wszystkich przekonała... Wszelako prawda jest tylko jedna; natura jak na wszystko tak i na wychowanie musi mieć prawa pewne i niezmienne. Szukać więc tych praw w rozumie i doświadczeniu należy; inaczej nigdy się pożądana umiejętność nie tylko nie wydoskonali ale i nie pocznie“. Człowiek z rąk przyrody nie wyszedł takim, jak go dzisiaj w towarzystwie widzimy; tem względem pierwszych ludzi jesteśmy, czem pielęgnowane w ogrodach, donicach lub cieplarniach kwiaty. A więc musimy odpowiedzieć na pytanie, czy wychowywać człowieka uwzględniając jego pierwotną naturę, czy wychowywać dla towarzystwa, w którem żyć będzie. Juści, że to ostatnie jest ideą przewodnią, *musimy tego człowieka za najdoskonalszego uważać, z którego społeczeństwo najwięcej korzysta.*

Człowiek rodzi się z pewnemi cechami, które zostaną mu na całe życie i te zdolności wrodzone pierwszorzędną

baczność wzbudzać powinny. To jest bardzo wybitny punkt w zapatrywaniach Śniadeckiego. Przyroda obdarza i ona jest głównym dobrodziejem człowieka i głównym wykonawcą. Jeżeli przyroda skąpo udzieliła swych darów, wychowanie powinno przyjść z pomocą i umiejętnie błędy, jeżeli to się da poprawiać, jeżeli zaś dary rozsypała hojnie, wychowanie musi je rozwinąć, umocnić i odpowiednio pokierować.

Ale szczególnie dotyczy to wychowania fizycznego. To do pewnego stopnia jest w mocy ludzkiej, inna rzecz z wychowaniem umysłowem: „Powiedzmy i to na zaletę wychowania fizycznego, że jego wpływ jest tak powszechny, iż żadnego nie przypuszcza wyjątku. Nikt się bez niego obejść nie może; dobrze kierowane zawsze się uda; kiedy tak zwane wychowanie moralne nie wszędzie się przyjmie... Że zaś tak jest przekonywa nas doświadczenie, bo patrzymy niemal codzień na najznakomitszych mistrzów, wydających okropnych nieuków, lub krwawych tygrysów, tak dalece, iż niektórzy uczeni wątpić zaczęli, czy może wychowanie sprostować na złe wykrzywiony umysł, lub niedołężny jakąkolwiek umiejętnością opatrzyć“. Ot jakie bystra obserwacya autora zdrowe i prawdziwe wnioski wysnuła. Tak jest. Umysł dziecka i młodzieńca zależy od tylu najróżnorodniejszych wpływów, iż niepojętą rzeczą jest wymyślenie programu ściśle strzegącego prawidłowego rozwoju dziecka. Nikt nie wie, co w młodym umyśle kiełkuje, nikt nie przejrzy całego ogromu coraz nowych rodzących się w młodzieńcu pojęć. Zaledwie z zewnętrznych objawów i ze słów można coś rozpoznać, ale to tak niewiele, że i opierać się na tem trudno. Jeśli wychowawca ma do czynienia z istotą małomówną albo skrytą z natury, władza pokierowania umysłem i sercem tej istoty jest prawie wykluczoną. Albo też wpływy działające na młody umysł są tak wielostronne, różne i niespodziane, że niepodobna nawet przewidzieć tego, jak książka znana z moralnych zasad w młodym umyśle przetłumaczoną zostanie. Bo cóż wpływa na dziecko i młodzieńca? Oto rodzice, rodzeństwo, służba, towarzysze zabaw, koledzy szkolni, szkoła, kobiety z któremi się spotyka, więc w jakiż to sposób można zawsze wiedzieć jakiemi drogami rozbudzające się pojęcia są kierowane. Warunki i wymogi zdrowia znamy niemal bez błędu, hygiena da się z całą stanowczością wszędzie zastosować, gdzie tylko są ulegli i chętni po temu. Zdrowie,

rozwój fizyczny, niedomagania ciała, różne wady, nadają się do ustawicznej baczności otoczenia; gdzie wychowawcy nie umieją zdać sobie sprawy, lekarz zda sprawę ze stanu zdrowia i rozwoju.

Z tego przeto względu Śniadecki postanowił przedewszystkiem zważać na strony wychowania fizycznego i jakkolwiek w zagajeniu zastrzega się, że nie myśli z punktu filozoficznego rzecz omawiać, w ciągu rozprawy dowodzi, jak głęboko wniknął w zadanie, aby nie suchy komentarz, ale czytającym dać materyał do samodzielnego rozmyślania.

Lecz czy zapomniał autor o tej podstawie towarzyskiego, społecznego pożycia człowieka, o duszy ludzkiej? Nie, bo chociaż na wychowanie fizyczne główną kładzie wagę, ustawicznie natrąca o jego moralne strony; wychowanie opierać się powinno zawsze na dążeniu i wpajaniu zdrowia w młody organizm, więc i zdrowia duszy człowieka. Z powodu zapatrywań, któreśmy wyżej przytoczyli, o fizycznem wychowaniu książkę pisze i obiecuje nie wdawać się w zawikłane sprawy rozwijającego się umysłu, zdrowie bowiem jak gwiazda przewodnia świeci autorowi i jest jego ideałem: „Hodować więc dziecię we względzie fizycznym, jest to je tak pielęgnować i tak prowadzić, ażeby nietylko życie i zdrowie od wszelkiego uchronić szwanku, ale nadto ostatnie tak zabezpieczyć i utwierdzić, aby przez to dobry byt i szczęście człowieka zapewnić. Mówię śmiało, szczęście człowieka. Bo ktokolwiek zna dobrze opłakane stosunki tej sceny, którą życiem towarzyskiem nazywamy, to zgodzi się ze mną: iż całe szczęście jest w mocnem zdrowiu takiem, któreby ciężkie brzemię cierpień, dolegliwości i trosków udźwignąć i znieść bez szwanku mogło; któreby cały ogrom walki z namiętnościami podobnych sobie jestestw wytrzymać potrafiło do końca“.

Oto przykład jeszcze jeden, jak wierzył profesor w pomyślność człowieka cieszącego się zdrowiem i siłami. Atoli jakby mimowoli, może bezwiednie cisną się uwagi tu i owdzie o kierunkach umysłowych wychowania, o wpływie duszy na ciało i odwrotnie.

Roztrząsa wreszcie pytanie, czy mamy źródła, z których można by czerpać jak z książnicy, czy poza osobistem doświadczeniem są inne podstawy usprawiedliwiające do czynienia wniosków o wychowaniu. Takie podstawy są i to liczne w dzie-

łach rozmaitych wychowawców i prawodawców, sięgające najodleglejszej starożytności: „Patrząc na wychowanie całych pokoleń i ludów prawami opisane i wykonywane przez wiele wieków, najpewniejsze można wyciągnąć edukacyjne prawidła, nie z domysłu, ale z doświadczenia obszernego i niezaprzeczonego, bo odbywającego się na wielkim teatrze świata i w obliczu wszystkich narodów. Z tego względu historya dawnych ludów będzie dla nas szkołą najlepszą. Z niej więc po większej części czerpać będę prawidła i wzory".

Tak też jest w istocie, w każdej karcie spotykamy się z przykładami ze starożytności, wychowanie w Sparcie wsławione i znane dzięki socyalnemu geniuszowi Lykurga, jest przedmiotem podziwu autora, i za godne naśladowania przez niego uznane.

Jak przyczynowo stara się autor swe rady podawać, dowodzi rozdział pierwszy omawiający, na co należy mieć wzgląd przy kojarzeniu małżeństw. W kwestyi tej jest zupełnie oryginalnym i zupełnie rozumnym. Znać, że przemawia do nas przyrodnik rozumiejący, że tak samo jak u zwierząt dobór osobników wpływa na poprawienie lub zepsucie rasy w potomstwie, tak samo u człowieka małżeństwo powstałe z osobników zdrowych, młodych, silnych, musi bezwarunkowo wydać potomstwo odpowiednie do prawidłowego rozwoju na tęgich, dzielnych obywateli kraju. A więc jest zdecydowanym przeciwnikiem małżeństw w których istnieje różnica wieku, szczególnie starość którego z małżonków lub chroniczna choroba. Autor dobrze pojmuje, że odpowiedniej ustawy dziś żadne prawodawstwo wydać nie może, że na miłość, jedyną i główną, naturalną podstawę małżeństwa, więzów i praw nakładać nie można, lecz odwołując się do rozsądku rodziców, w imię szczęścia dzieci zaklina ich, by swe córki dla próżności i majątku nie wydawali za bogatych starców albo schorzałych dostojników: „Spartanie", mówi Śniadecki, „na to mieli wzgląd największy, ażeby dobierać małżeństwa z osób pięknych, wysmukłych, rzeskich i hożych, na których twarzach iskrzyły się wesołość i zdrowie. Dlatego też, powszechnem w całej Grecyi zdaniem, nic nie było piękniejszego nad Spartanów i Spartanki". Jeżeli więc rodzice i wychowawcy mogą i chcą na młodzież wpływać w kierunku małżeństwa w osta-

tnio wymienionym celu, powinni zużytkować swe siły wychowawcze.

Tak to gdziekolwiek otworzymy książkę „o fizycznem wychowaniu dzieci“ znajdujemy zasady, któreby w każdej epoce złotemi głoskami wypisać można, a z nich wnioskując o autorze, musimy uznać w nim niepośledniego myśliciela. Bo chociaż te jego proste myśli wydają się nam tak naturalne i łatwe, to przecież są to pozory; do tych prostych myśli trzeba niezwykłego umysłu, a dowód na to tkwi już w tym fakcie, iż tak niewielu rodziców to rozumie i zawsze aż do dzisiejszej pory zaślepienie i nierozum ludzi i społeczeństw, wielu małżeńskich dramatów jest przyczyną, właśnie na tle, przeciw któremu Śniadecki występuje.

Takich zdań spotykamy wiele. Jest między niemi jedno, któreby mogło zjednać Śniadeckiemu, taką wdzięczność rodziców i taką sławę, jaką zjednało owemu twórcy ogródków dziecięcych Froeblowi, gdyby tak jak on siły swe wyłącznie kwestyi wychowania poświęcił. W ustępie bowiem o hodowaniu dzieci po odłączeniu aż do końca siódmego roku występuje przeciw zbyt wczesnemu wkładaniu w słabe pojęcia dziecka nauki języków i innych nauk. Czegóż więc chcesz? odezwą się rodzice“, mówi Śniadecki, „żeby dzieci niczego nie uczyć, a ludy do dawnego zwrócić barbarzyństwa? Bynajmniej“. Śniadecki będąc przyjacielem prawdziwego oświecenia, nie chciałby by dzieci odrazu do nauk naginać, gdyż one z reguły pokazują do nauki wstręt i odrazę dlatego iż czują, że ją narzucamy. Prawidłowemu wychowaniu stanie się zadość gdy „nie odrywając dzieci od zabaw i pracy cielesnej, podsuwać im będziemy zwolna, ale bardzo nieznacznie takie tylko nauki, które się zgadzają z ich zdolnością, które je bawią i do których same pokazują ochotę, a które nie wymagają żadnego natężenia myśli“.

Czyż te zasady różnią się od pojęć Froebla, który radzi dać dzieciom zajęcie zgodne z ich naturą, wzmacniać ciało, ćwiczyć zmysły, zapoznać z naturą i ludźmi? Zaprawdę szukamy zawsze obcych bogów, chwalimy cudze, nie wiedząc, że gdybyśmy słuchali tylko naszych mędrców i nauczyli się raz przecie na własnych siłach polegać, nie bylibyśmy popadli w odmęt niepowodzeń i nieszczęść.

A dziecko prowadzone takim systemem wychowania,

zacznie zdjęte ciekawością pracować z zamiłowaniem nad rozwiązaniem interesujących je problemów i zasypie nas tysiącznemi zapytaniami, a my będziemy rzetelnymi nauczycielami, jeśli na pytania tak zręcznie potrafimy odpowiadać, ażeby się dzieci prawdziwie uczyły. I to zdaniem Śniadeckiego zupełnie wystarcza w okresie, zanim dziecko nie ulegnie programowej nauce szkolnej. W ten sposób bowiem zbliżymy je do prostoty i naturalnych warunków wychowania, dziecko stanie się samodzielnem a umysł nie przeładowany nie utrudni rozwoju fizycznego. Dzieci w ten sposób prowadzone nauczą się uległości wobec praw i obowiązków, licząc na własny spryt i własną pracą przyzwyczają się do siły najpotężniejszej t. j. do konieczności, która wynika z samej natury i jest silniejszą nad wszelką ludzką siłę.

Powtóre dziecko powinno rosnąć w atmosferze pogody, wesołości i dobrego przykładu. „Platon w urządzeniu swojej Rzeczypospolitej wychowuje dzieci w samych igrzyskach i godach, w samych pląsach, rozrywkach i śpiewach; bo te same pląsy, te rozrywki, te śpiewy można tak urządzić, że staną się pożyteczną nauką“, powiada autor tak często na starożytność się powołujący.

Prócz tego od wczesnego ranka młodości przyzwyczajać młodzież należy do systematycznej gimnastyki. Tu wspomina Śniadecki o gimnastyce, wykazując, jak wszechstronnie ją pojmuje, każąc uczyć pasowania się, rozumie się w odpowiednim wieku, robienia bronią rozmaitą, tańców, skakania, włażenia na drzewa, przeskakiwania rowów, jeżdżenia na koniu, bo to „dopiero da prawdziwą siłę, to wyraźne i wybitne rysy całego ciała, to prawdziwie okazałą męską piękność. Dalej należy wydoskonalić organ mowy uczeniem deklamacyi, wydoskonalić słuch muzyką, należącą w Atenach do niezbędnych warunków wychowania, szanować oczy, nie dozwalając, by dziecko ślęczało nad książkami lub czytywało w złem świetle lub przy blasku lampy. To wszystko należy do gimnastyki, a tę w szkolnem znaczeniu systematyczną na przyrządach winien wyłącznie prowadzić nauczyciel fachowy, inaczej lepiejby gimnastyki szkolnej nie uczono.

Odnośnie do wychowania dziewcząteк bardzo wiele zarzuca Śniadecki systemowi w jego czasach praktykowanemu, opierającemu się na zamknięciu klasztornem i braku swobody.

„Dotąd mało u nas myślą o wychowaniu kobiet, nic w tym celu nie przedsięwzięto; nie mamy ani przepisów, ani domów dla ich edukacyi publicznej. Wychowują się więc po klasztorach, pensyach, lub domach rodziców. We wszystkich tych przypadkach powierzone są staraniu cudzoziemek, pospolicie źle wychowanych i nic nie umiejących... cudzoziemek może wyrzuconych z własnego kraju, nadętych, uprzedzonych i mówiącej najgorzej o kraju naszym, a zatem wpajających z dzieciństwa w młode umysły nienawiść tego, co jest dla każdej poczciwej duszy najświętszem. Cnotliwe rodaczki! dotąd rząd krajowy nie myślał o was, pomyślcie więc same o sobie, bądźcie nauczycielkami własnych córek... otrząśnijcie się nakoniec z przesądów, zamiłujcie swój kraj, plemię i swój język nadewszystko".

Jakkolwiek ustęp ten dziś jest już nieżywotny i bez znaczenia, gdyż nasze kobiety idą z mężczyznami w bardzo powolnym, ale zgodnym takcie ku oświacie i cywilizacyi, to przecież ustęp ten należy w pracy Śniadeckiego do tych pisanych jakby złotemi głoskami. Na każdem miejscu widniejąca, uderzająca tą prostotą i gorącością miłość dla kraju i wszystkiego co swojskie, we wszystkich a przynajmniej w bardzo wielu wzbudzać powinna bezwzględną cześć dla nienagannego polskiego myśliciela, umiejącego wszystkie swe zasady zestrzelić w jedno ognisko rodzinnej ziemi, ognisko swojskich społecznych dążeń i pracy dla dobra ogółu.

Nauką dzieci i młodzieży, mimo zamiaru powstrzymywania się w tej mierze, zajmuje się autor w licznych miejscach. Bo gdy rozpisał się i wszedł w rozliczne zagadnienia wychowawcze, na uwagę nasunęła mu się tak olbrzymia ilość błędów, tak wadliwe zastosowanie nauki do warunków bytu i rozwoju fizycznego, że właśnie ze względu na zdrowie ludzi pragnie nauką pokierować. Już w początku rozprawy powstaje i z naciskiem akcentuje cechę wieku swego: „Nie wiem, czy to poczytać za szczęście, że żyjemy w wieku, w którym zajęto się jedynie kształceniem umysłu, bez najmniejszej uwagi na wychowanie fizyczne. Dlatego dziś mało mamy ludzi, zwłaszcza w wyższych klasach społeczeństwa, bo co tutaj napotykamy, są to po największej części umysłowe mary, lub rozumujące cienie. Pragnąc utworzyć sobie raj umysłowy, od-

kopujemy źródło niedołęstwa „tysiącznych cierpień i stwarzamy na ziemi prawdziwy czyściec, jeśli nie piekło“.

W tym duchu kreśli cały plan nauki. Pominąwszy rady w kierunku kształcenia małych dzieci, o czem wspominaliśmy, przytoczymy zasadnicze punkta rozumowań w tym względzie. Najwalniejszym punktem jest to, że cała teorya t. j. gramatyka, filozofia i t. d. powinny być odsunięte i podane już dorastającej młodzieży, dzieci i młodzieniaszki powinni się uczyć wyłącznie nauki praktycznej i stosowanej. Dziś, po upłynięciu tak wielkiej liczby lat od daty narodzin dzieła, wszystkie kongresy i ankiety szkolne jakby pod wpływem nowego prądu wzywają rząd do reform w tych kierunkach, gdy tymczasem nie usłuchany przez nikogo wileński profesor z całą świadomością rzeczy głosił te prawidła na podstawie, iż młode istoty myśl zwolna w sobie wyrabiać są zdolne, natomiast już bardzo wcześnie okazują wybitnie wyrobioną władzę postrzegania czyli obserwacyę i są na wszystko baczne i wszystko jeśli tylko potrafią, chętnie naśladują. Jakżeż wydaje się to proste i rozumne, iż takiej konstytucyi wyłącznie praktycznie pojęte nauki, jakoteż języki są właściwe.

Z tego założenia wyprowadza Śniadecki drugie twierdzenie, na szczęście dziś już niemal zupełnie przyjęte, że podstawą wychowania jest wychowanie publiczne, jawne, więc przedewszystkiem w publicznych szkołach. „Słyszałem wielu mówiących, że wychowanie domowe dlatego jest lepsze, iż w szkołach publicznych najlepsza młodzież złym przykładem się psuje. Takichbym się rad zapytał: skąd się biorą te złe przykłady? Oto je młodzież z domu przynosi. Więc w domowej i z domowej edukacyi początek złego, ta zaraza psuje nawet publiczną. Znał to dobrze Lykurg, kiedy całą młodzież wychowywał publicznie, razem pod oczyma wszystkich obywateli; bo wiedział, że się w domu najłatwiej popsuje, gdzie bywają osoby obce, nie zawsze dobrane, gdzie psuje niańka i matka pobłażaniem i tolerowaniem próżniactwa. Dlaczegóż Spartanie tak byli cnotliwi? Bo nie było wychowania prywatnego, bo dzieci od urodzenia były własnością publiczną“.

Taka to młodzież, pod okiem wszystkich powinna być ustawicznie zajętą w miarę sił rozmaitemi zabawami i naukami bez szczególnego rozdwojenia na płeć męzką i żeńską. W wywodach Śniadeckiego emancypacya kobiet, że powiemy, zna-

lazła szerokie zastosowanie i u niego kobieta zajęła należne miejsce obok mężczyzny, została napowrót po długich wiekach upośledzenia powołaną do korzystania w wychowaniu z tych samych praw i urządzeń.

Ostatni rozdział zajmuje się wychowaniem dojrzewającej młodzieży. I w tem wiele ma Śniadecki swemu otoczeniu do zarzucenia. „Nie moja wina“, powiada Śniadecki, „jeżeli często na zwyczaje albo i ustawy nasze narzekać lub mówić przeciwko nim muszę“. Otóż w pierwszym rzędzie powstaje przeciwko usamowolnieniu zupełnemu młodzieży po ukończeniu szkół średnich, uważając to za błąd właśnie dlatego, że do tej pory zwykle zostawali pod ścisłym nadzorem i rygorem wychowawców. Nagle nadana nie krępująca się niczem swoboda może najzgubniejsze wydać owoce. „A że dotąd była mu wolność potrzebna a myśmy ją odebrali, teraz zaczyna być najszkodliwszą i my ją natychmiast dajemy“. I tu wiele przemawia za autorem. Ileż to przykładów każdy człowiek w życiu spotyka. Mówimy, ten się zmarnował za młodu. Więc że tak bywa, trudno winić szkołę lub rodziców, tu trzeba winić zbyt wczesne nadanie wolności młodemu człowiekowi. Młodość jest to wiek zapału, niecierpliwości, nieuwagi, porywczości i nierozmyślnej odwagi. Rozżarzone w tych latach namiętności wybuchają gwałtownie i zmieniają się w nałogi. Uwaga ta przeto, to nowy dowód bystrości Śniadeckiego. „Jeżeli kiedy wychowanie powinno być uważne, umiejętne, tęgie i sprężyste, to zaiste teraz“, nawołuje: „Teraz potrzeba prawdziwie dzielnej i wprawnej ręki, żeby utrzymać cugle brykającej młodzieży, żeby owocu ośmnastoletniej pracy nagle nie stracić“. Atoli chociaż nie zawsze się to uda, trzeba obecnie bez względu na zawiłość i trudność nauk podawać je młodzieży. Obawiać się już nie trzeba ani stargania nerwów, ani niedokształcenia fizycznego, gdy młodzieniec wychowany podług rady autora od początku życia, pożerać teraz będzie ogrom nauki i wiedzy i odda się z kipiącą życiem energią jakimś szczytnym hasłom lub ideom. To właśnie uważa Śniadecki za normalne, jedynie mogące uchronić przed złemi namiętnościami, jak prawdziwą przyjaźń przed niewczesną lub nieszczęśliwą miłością, cechą również tego wieku. Całą więc siłą wpływu należy nakłaniać młodzież do pracy i nauki a ochronić przed próżniactwem. W dziecinnym wieku ubiegamy

się za swawolą, fatygą i pracą, więc próżnowania lękać się w dzieciach nie potrzeba. A w wieku, o którym mowa, trzeba ustawiczną pracą tak cielesną jak umysłową zapobiegać namiętnościom gwałtownym i próżnowaniu, rodzicielce wszystkich złych huci. Dlatego to w starożytności znając złe skutki próżnowania Amazys prawem Egipcyanom przepisał, iż każdy człowiek wobec rządcy prowincyi ma raz w rok wykazać się z czego żyje i jak pracuje. Drakon przekonanych o próżniactwo karał śmiercią. Lykurg młodzież bezprzestannie publicznemi zatrudniał ćwiczeniami, a gdy kto cofał się od igrzysk publicznych, zamknięte miał pole do urzędów i zaszczytów.

Wzorowo społeczny ten traktat „o fizycznem wychowaniu dzieci“ oglądający się nie na zadowolenie próżnych rodziców, chcących się dziećmi popisać, ale na postulaty obywatelskie, nakłaniający wszystkich interesowanych do wychowania naturalnego, pełnego prostoty i oparcia się na prawach przyrody, przynosi chlubę rodzinnej pedagogii, wyprzedza w swych teoryach piastunkę obecnej cywilizacyi, zachodnią Europę, dorzuca do zasług i idei Jędrzeja Śniadeckiego nowy wawrzyn.

Czyż możemy człowiekowi o tak wielkiem sercu i wspaniałym rozumie szczędzić czci i pamięci?!

VIII.

Rok 1822 znów jest zwrotnym w biegu życia profesora wileńskiego. Zwrot to tak wybitny, że podobnie jak w książce nowy rozdział poczyna, tak w życiu Jędrzeja Śniadeckiego wywołuje zmiany kierujące go na inną katedrę, w inny porządek prac i stosunków zawodowych.

Oto podaje się na emeryturę za dwudziestopięcioletne chlubne piastowanie chemii przy wszechnicy wileńskiej, w poczuciu, że profesor ma niestrudzenie i bez wytchnienia pracować dla sławy swej katedry, a gdy wiek na odpowiednie i godne reprezentowanie jej już niedozwala, winien oddać ją w ręce młode, pełne świeżych sił i nieugiętego zapału. Następcę wychowanego przez siebie poważał i uznał za godnego togi profesorskiej, wystarał się o jego nominacyę, a sam ustąpił w domowe zacisze, by na łonie szczęśliwej rodziny, w posłu-

4812

gach lekarskich dla chorych, w kierowaniu majątkiem ciężką pracą zdobytym, znaleść mniej wytężającą pracę odpowiednią jego nadwątlonym siłom. Następcą Śniadeckiego był niejaki Fonberg, polak, zasłużony wydaniem chemii w jej technicznem zastosowaniu. (Chemii tej wyszedł tylko tom I).

Ustępując z katedry chemii niejako na pożegnanie zostawił w „Dzienniku wileńskim“ prace „o żelazie meteorycznem Rzeczyckiem“ dodając od siebie hypotezę o tworzeniu się spadających na ziemię meteorów. Tymczasem okoliczności nie dozwoliły Śniadeckiemu usunąć się od życia publicznego, jak zamierzał. W r. 1824 zawakowała po śmierci Wincentego Haberskiego katedra kliniki lekarskiej, usilne starania rządu i namowy przyjaciół skłoniły Śniadeckiego do objęcia tak ważnej kliniki, mającej za zadanie wprowadzenie młodych adeptów w szerokie dziedziny praktyki i badania lekarskiego.

Do nowej pracy, jakby na nowo zagrzany, jakby odrodzony przystąpił Śniadecki z właściwą sobie obowiązkowością, ze zrozumieniem posłannictwa, z niezmordowaną cierpliwością i staraniem około dobra młodzieży. Przez kilkanaście lat, bo niemal do końca życia prowadząc klinikę lekarską wileńską wydał spory zastęp lekarzy, którzy sławę i powagę mistrza roznosili daleko i szeroko. Zachęcony nowemi zadaniami, podniecony zaszczytnem stanowiskiem pracuje dyrektor kliniki już wyłącznie w zakresie praktycznej medycyny, w przekształconym w r. 1830 dawnym Pamiętniku tow. lekarsk. wil., który otrzymał nową nazwę „Dziennika medycyny, chirurgii i farmacyi“, zamieszcza z kolei kilka prac jako to: „O gorączce“ pracę będącą wynikiem dobrej obserwacyi i tyloletniego doświadczenia, następnie: „Postrzeżenia tyczące się leczenia krupu“. „Niektóre postrzeżenia tyczące się chorób konwulsyjnych, biorących początek z cierpień kolumny pacierzowej“. „Jak niekiedy choroby płuc udają cierpienia szpiku pacierzowego“.

Po roku 1830 tak świetnie, lecz tak niedługo istniejący uniwersytet został zwinięty. Na miejscu jego utrzymano tylko akademią medyko-chirurgiczną mającą na względzie kształcenie lekarzy dla potrzeb wojskowych. W tej nowo otworzonej akademii zajął mistrz i mędrzec wileński takie same stanowisko, odznaczony przy tej sposobności tytułem „akademika“ i orderem św. Włodzimierza.

Syt godności, zwątlony nawałem pracy w ciągu za-

szczytnego żywota, oprócz niewielu nowych usiłowań, coraz częściej i chętniej poprzestawał na domowem ognisku, pod starość smutniejący, ścięty tak rozlicznemi epokowemi przejściami w Europie i we własnym kraju, widząc tyle przewrotów i upadków poczuł, że już koniec jego prac, wysiłków. Zachował czerstwość umysłu, zachował tak troskliwie przez całe życie pielęgnowane ideały, lecz coraz częściej wyjeżdżał do swej posiadłości wiejskiej Bołtupia w powiecie oszmiańskim położonej i tam poświęcał się spokojnemu zajęciu rolnika. Lecz i tam pozostawił część swej wielkości, mianowicie stosunek jego do poddanych jeszcze w owych czasach chłopów, mógłby świecić przykładem, w jaki sposób przywileje posiadacza należy zrównoważyć z ojcowską opieką i pieczą o poddanych. Jego zachowanie się wobec wieśniaków było wyrazem wielkiego serca i rozumnej dobroci.

Na wsi żył jak wieśniak. Zajmował się majątkiem, dla przyjemności ogrodnictwem i rybołostwem, a oddawna myśliwy z zamiłowania, bynajmniej nie był ostatnim pomiędzy rutynowanymi myśliwcami z profesyi.

Jednak trudno było wstrzymać pióro i myśl przez życie do ustawicznej czynności przyzwyczajoną. Żywotności Śniadeckiego wystarczyło do napisania kilku znów prac lekarskich, bowiem od r. 1822 w innym kierunku pióra nie używał. Po porządku w „Dzienniku medycyny, chirurgii i farmacyi“ pomieścił rozprawki „o przypadku wścieklizny bez ukąszenia“, „o wyziewach jadowitych i zarazach“, hipotezę o powstawaniu chorób zaraźliwych z wyziewów i miazmatów, hipotezę błądzącą niepewnie na drodze prawdziwego rozwiązania chorób powodowanych wegetacyą drobnoustrojów (bakteryi). Wreszcie rozprawa „o irytacyi“ napisana celem ustalenia tego słowa, używanego przez lekarzy. Praca niniejsza była ostatnią. Nestor polskiej medycyny pisał ją dwukrotnie z powodu zaginięcia rękopisu pierwszego, na pół roku przed zgonem w 70-tym roku życia.

W stosunku do ludności, licznych przyjaciół i nader szerokiego koła znajomych stał na stanowisku w zupełności zasłużonem. Była to osobistość dla Wilna tak jakby święta, patryarchalna. On to prawie, że jedyny żył jako świadek tak burzliwej, zmiennej, doniosłej w skutki przeszłości, powołany na wszechnicę wileńską jeszcze przez Komisyę edukacyjną,

4812

osamotniony, pozbawiony wszystkich dawnych swych kolegów, stał jak żywy pomnik niedawno minionej a tak różnej, tak odmiennej przeszłości. Na niego patrzano jak w księgę zamykającą szmat dziejów, widziano w nim potęgę, wiarę w zwycięstwo pracy i wytrwałości. Młodzież oceniająca za wszystkimi wielkość i znakomitość osiwiałego w walce o rozwój nauki mędrca, pociągnięta młodzieńczym zapałem, odczuwającym zawsze wszystko nad poziomy wzlatujące, w wigilinę imienin w listopadzie w 1837 roku wystąpiła z uroczystością ku czci starca. Przyozdobiono salę popiersiem mistrza, zielenią, rzęsistem światłem, jako symbolem geniuszu; przyjęła młodzież w tej sali mistrza podobnie jak króla, przyjęcie było tak serdeczne, że przy ogólnem wzruszeniu, łzy popłynęły po czcigodnem obliczu starca, ubranem siwymi splotami. Nie przeczuwano, że ten hołd jest równocześnie pożegnaniem człowieka, który ani na godzinę nie sprzeciwił się nigdy przyjętemu hasłu: „służmy poczciwej sprawie“.

Działo się to w listopadzie, a już w lutym roku przyszłego niemoc złożyła go na łoże, z którego już nie powstał. W piątek 11 maja 1838 roku po pierwszej w południe oddał Śniadecki wielkiego ducha, opuścił swych rodaków i kraj swój tak gorąco ukochany. Geniusz strzegący przez ciąg pięknego żywota prawdy, nauki i postępu, przeniósł się w mgliste krainy wieczności.

Wieść o skonie uczonego rozeszła się szybko. Zamiast przytaczania objawów powszechnego żalu, ogólnego wyrazu czci i pamięci, przytoczymy słowa ucznia Śniadeckiego Skimborowicza, zamieszczone w warszawskiej „Gazecie Porannej“. „Jędrzej Śniadecki rozstał się z tym światem w piątek d. 29 kwietnia (11 maja n. s.) jak prawdziwy filozof i nieodrodny chrześcijanin-katolik. We wtorek, dnia 3 maja, przewiezione zostały zwłoki z domu Franka, przy ul. Długiej położonego, do kościoła akademickiego św. Jana. J. W. Sufragan trocki, nominat biskup Cywiński, na czele świeckiego kleru z Akademii duchownej i seminaryum dyecezyalnego, oraz wszystkich zgromadzeń zakonnych będących w Wilnie, religijną w tym dniu oddał przysługę. Ciało nieśli adjunkci cesarskiej medyko-chirurgicznej akademii, profesorowie i uczniowie tejże akademii; krewni zmarłego, tudzież kilkanaście tysięcy z całego

miasta i przybyłego z prowincyi ludu, temu smutnemu dla Litwy towarzyszyło obrzędowi".

Nazajutrz po mszy celebrowanej przez biskupa Kłągiewicza, słynny kaznodzieja ks. Trynkowski wygłosił podniosłe kazanie, wziąwszy za osnowę słowa tekstu Pisma Świętego: „Oto człowiek"...

Bo był to człowiek urosły z niespożytego hartu, wielkiej woli, okazałego uczucia, świetnego rozumu, człowiek którego wielbić i naśladować winni wszyscy jego następcy; to światło i ozdoba narodu; to obraz i wzór niepokalanej wielkości!

Zwłoki jego spoczywają w Bołtupiu, w osadzie ku czci jego Jędrzejówką nazwanej. Dzieci mistrza utrwaliły świadectwo tego miejsca trwałym nagrobkiem, lecz gdy zasługi i dzieła jego stały się pożytkiem i własnością rodaków, wdzięcznością powodowani postarali się o widome oznaki pamięci.

W r. 1866 za staraniem cieśli poznańskiego Antoniego Krzyżanowskiego, w Żninie, rodzinnem mieście Śniadeckich odsłonięto w obecności delegacyi poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, tablicy marmurową poświęconą Janowi i Jędrzejowi Śniadeckim, przyczem Karol Libelt wygłosił mowę. W roku 1897 w gmachu chemicznym we Lwowie wśród akademickiej uroczystości odsłonięto tablicę ozdobioną popiersiem Jędrzeja Śniadeckiego i uczczono uroczyście ojca polskiej chemii. W roku 1898 dłuto Welońskiego odtworzyło w bronzie pomnik słynnego męża, umieszczony w Warszawie w kościele Wizytek.
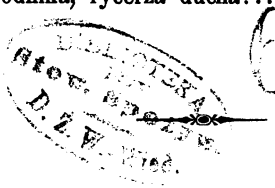
Czyż można wątpić, że trwa zasłużona pamięć znakomitego przyrodnika, rycerza ducha?...